

164837

11.

20

7.52



James Gillray.

2) FRANCISZEK GRILLPARZER

(ŻYCIE I DZIEŁA)

NAPISAŁ

1) DR. ALBERT ZIPPER.

~~~~~  
ZE STALORYTOWYM PORTRETEM POETY

—————  
WE LWOWIE

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT

Z drukarni Wł. Łozińskiego (Zarządca W. J. Weber)

1 8 8 6.



164.837

II

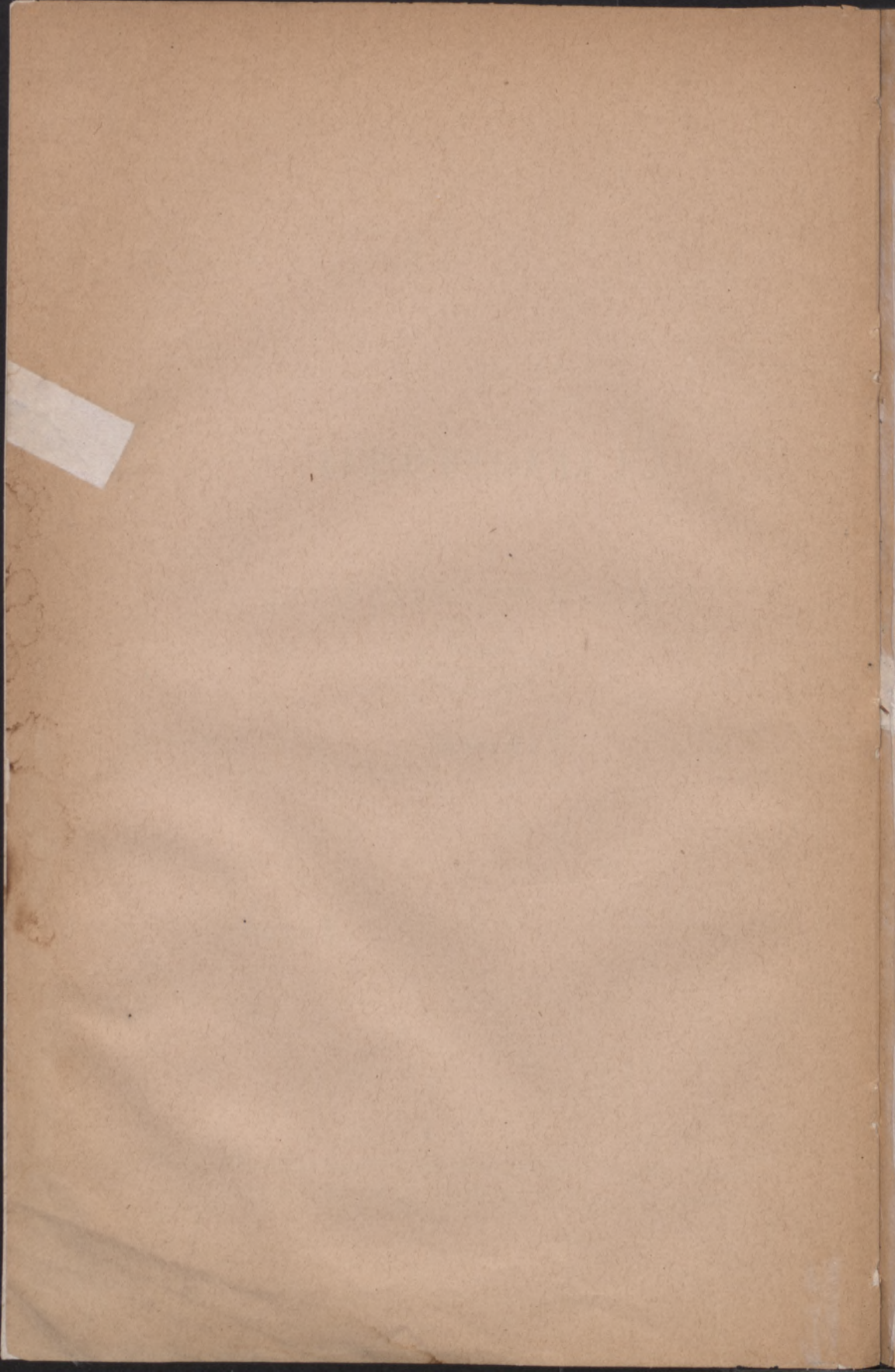
Na odbicie potrzebnych egzemplarzy portretu zezwolił uprzejmie  
właściciel płyty, p. R. Drodleff (G. Heckenasta następcą) w Pressburgu.

J. I. KRASZEWSKIEMU

Z CZCIA I WDZIĘCZNOŚCIĄ

OFIARUJE

AUTOR



## T r e ś ć

|                                                                                                                                                                                                                   | Str. |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Wstęp                                                                                                                                                                                                             | 3    |
| I. Rodzice poety. Dom rodzinny. Pobyt na wsi. Pierwsze nauki. Muzyka. Medarycz. Wychowanie domowe. Lektura. Gimnazjum. Uniwersytet. Wiersz piętnastoletniego. Studya prawnicze. Przyjaźnie. Choroba i śmierć ojca | 5    |
| II. Położenie rodziny. „Blanka“. Teatr. Hr. Seillern. Posada w bibliotece nadwornej. Niebezpieczna choroba. Recydywa. Zmiana służby. Schreyvogel. Zachęta i praca                                                 | 12   |
| III. „Matka ruda“. Przekłady jej polskie. „Schicksalsdramatiker“. „Safa“. Przedstawienie jej. Dziennikarstwo. „Wiener Jahrbücher“. Przekłady Brodzińskiego                                                        | 19   |
| IV. Stosunki materyalne. Hr. Stadion. Choroba. Gastein. Śmierć matki. Podróż do Włoch. Przykre następstwa. „Ruiny Campo vacchino“. Trylogia „Złote runo“. Styl Grillparzera                                       | 39   |
| V. „Króla Ottokara szczęście i koniec“. Dziwne losy. Awans. Stosunki prywatne. Marya Piquot. Kathi Fröhlich. „Ludlam“. Pobudki do nowej podróży                                                                   | 48   |
| VI. Podróż. U Goethego. Powrót. „Wierny sługa“. Osobliwa propozycya. „Klasztor pod Sandomierzem“                                                                                                                  | 57   |
| VII. „Morza i miłości fale“. Niemiec austriacki i północny. „Sen życiem“. Koniec Schreyvogla. Meluzyna. „Wspomnienia o Beethovenie“                                                                               | 64   |
| VIII. Grillparzer dyrektorem archiwum. Koło literackie. Muzyka. „Tristia ex Ponto“. Walka z Saphirem                                                                                                              | 71   |
| IX. Podróż do Francyi i Anglii. W Paryżu Börne. Heine. W Londynie. Parlament. Sądy. Teatry. W Stuttgarcie. Nieszczęsna wiadomość. „Biada temu który kłamie“. Fatalne przyjęcie tego dzieła i przyczyny klęski.    | 74   |

|                                                                                                                                                                                                            | Str. |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| X Wrażenie niepowodzenia. Nieprzyjaźń Melpomeny. Opinia w Niemczech. Poezye. Daremne zabiegi o odpowiednie stanowisko. Podróż do Grecyi. Do Hamburga. „Ubogi grajek“. Grillparzer i muzyka . . . . .       | 80   |
| XI. Rok czterdziesty ósmy. Wiersz do armii włoskiej. Uznanie i hołdy. Wznowienie dramatów Grillparzera przez Laubego. „Libusza“. „Waśń bratnia“. „Żydówka“. Autobiografia. Wystąpienie ze służby . . . . . | 85   |
| XII. Życie starca. Przygoda w Römerbad. „Estera“. Koniec . . . . .                                                                                                                                         | 91   |

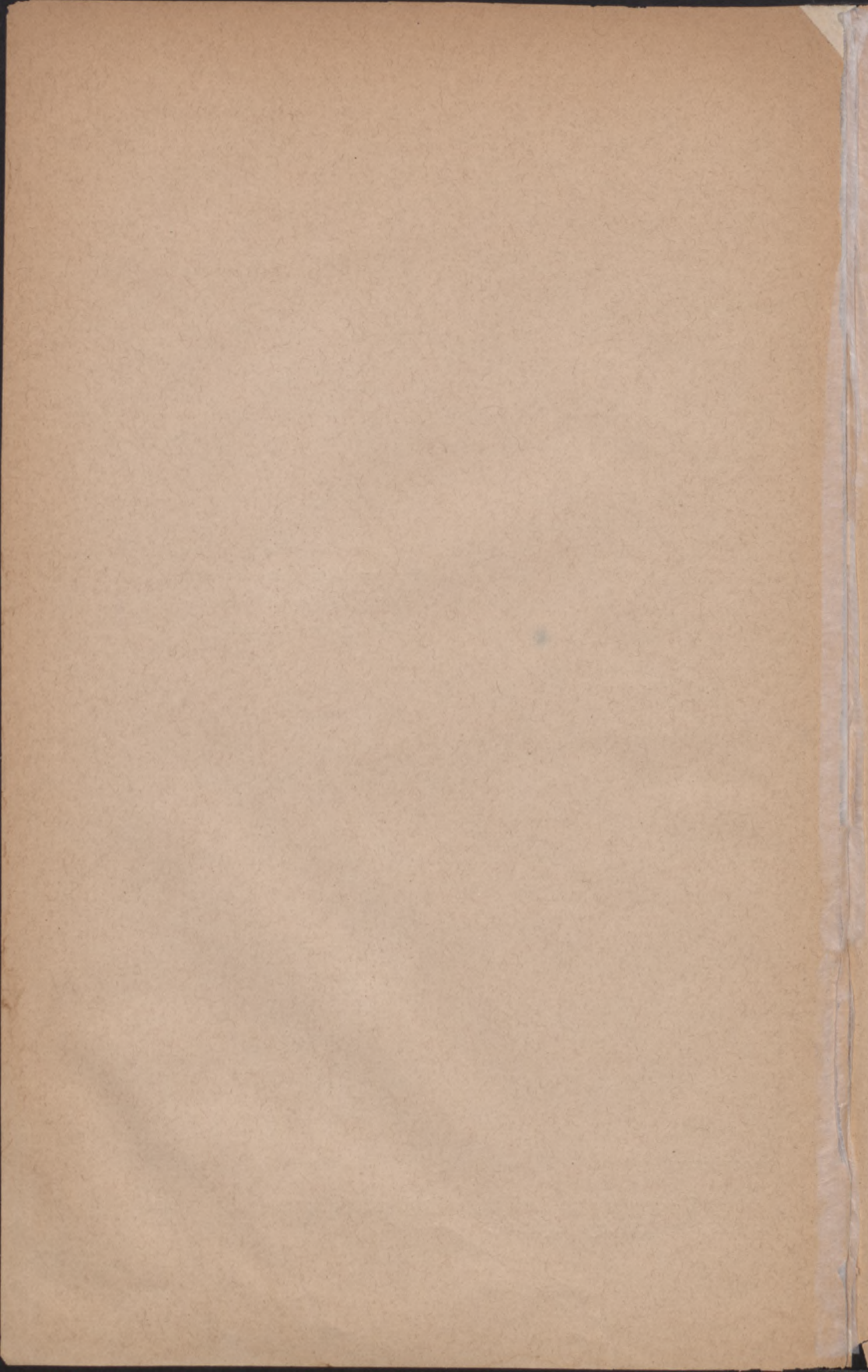
---



*Salve, perenni laude senex potens,  
Hoc saeculo tu primus in Austria,  
Francisce Grillparzer, camenae  
Nobilis ingenuae sacerdos.<sup>1)</sup>*

---

<sup>1)</sup> Z ody profesora Linkera, na jubileusz Grillparzera z polecenia uniwersytetu praskiego napisanej.



## W S T Ę P

---

Gdy po arcydziełach Goethego i Schillera nowe prądy piśmiennictwa niemieckie w innych kierunkach, ku innym celom zwracać usiłowały, spostrzegamy jednego poeęę, który nie idąc za głosem heroldów i hasłami dnia, pragnął pozostać na klasycznym gruncie, przez dioskurów wejmarskich zdobyty. Stał on samotny, opuszczony i zapoznany, ale wytrwał i wzrastał w siłę olbrzymią; bo w głębi serca jego gorzało dumne przeświadczenie, że czego współcześni mu odmówią, to późniejsze pokolenia sownie wynagrodzą, że jak o Schillerze i Goethem nie zapomną, tak i jego imię z wdzięcznością pamiętać będą.

Tą monumentalną postacią jest Franciszek Grillparzer. Obywatel austriacki staje obok klasyków wejmarskich, a opiera prawo swoje do miejsca w poczcie tych koryfeuszów literatury niemieckiej na wzniosłości pojęć estetycznych i surowości wymagań swych od poezji, na wzorowym wykończeniu znakomitych postaci, które wyobraźnia i sztuka jego wyciosały, na długim szeregu doskonałych dzieł, na których stworzenie dnie i noce żywota się złożyły. Ktokolwiek wstępuje do świątyni jego

---

Ważniejsze dzieła pomocnicze: Zbiorowe wydanie pism Grillparzera, a w nich w szczególności autobiografia, wspomnienia i dzienniki poety, wstęp i uwagi Laubego; Wurzbach, Franz Grillparzer; Kuh, Zwei Dichter Oesterreichs; Fäulhammer, Franz Grillparzer, eine biographische Studie; Scherer, w dziele: „Vorträge und Aufsätze zur Geschichte des geistigen Lebens in Deutschland und Oesterreich“; Dedekind, Memoiren aus Grillparzerkreisen; Goedeke, Grundriss zur Geschichte der deutschen Dichtung, tom III; Laube, Franz Grillparzers Lebensgeschichte. Polemikę jak również cytaty rozmiary i zadanie tej pracy wykluczały; gdzie od innych zapatrywań odstępuję, znawca dostrzeże.

muzy, tego owiewa odrazu czyste technienie olimpijskiego eteru, i poznaje natychmiast czar żywiołu niebiańskiego.

Nadzieje Grillparzera nie były płonne: poważna sympatya niejednego światłego męża z zadowoleniem śledziła rozwój poety i witała z radością każde nowe dzieło jego jako nowy zadatek sławy. A ku końcowi jego życia tkwiło przekonanie o jego zaszczytnem, pierwszorzędnem znaczeniu w piśmiennictwie już silnie i głęboko we wszystkich warstwach mieszkańców państwa austriackiego. Powszechna ta cześć znalazła właściwy wyraz w wspaniałym obchodzie jubileuszowym i w równie wspaniałej, choć smutnej uroczystości pogrzebowej.

Żywo pamiętam dni te, których wrażenie wbiło się głęboko w mój umysł młodzieńczy. Byłem uczniem akademickiego gimnazjum w Wiedniu, gdyśmy obchodzili powszechny jubileusz; rozpocząłem klasę ósmą, kiedy Grillparzer umarł, i widziałem jego spokojne, pogodne rysy po raz ostatni. Razem z kolegami brałem udział w nieskończonym orszaku pogrzebowym, który cicho przez ludne ulice stolicy przeciągał. Wspólnie z przyjaciелеm młodości, nieodżałowanej pamięci Grzegorzem Kutschera von Aichbergen, który obudziwszy wielkie nadzieje pierwszą ceną pracą na polu umiejętności, nagle zeszedł ze świata tego, pielgrzymowaliśmy do grobu Grillparzera, a rozczytując się w jego pismach i widząc na scenie jego utwory, zachwycaliśmy się wielkimi dziełami jego ducha.

Toż nie dziś dopiero postanowiłem naszkicować dla polskiej publiczności portret Franciszka Grillparzera, w nadziei, iż powiększając liczbę jego wielbicieli, zachęcę powołanych tłumaczy do przyswojenia nam choć jednego, a daj Boże! kilku z pierwszorzędných utworów jego. Wszak słusznie jeden z naszych najznakomitszych literatów przypomniał niedawno temu, że bacniejsze, niż zwyczajne u nas, zwracanie uwagi na wielkie postacie i utwory obcych literatur nie małą korzyść może i powinno przynieść naszej. Wątpię zaś, czy tak łatwo znaleźć poetę, którego dzieła zdołałyby wpłynąć bardziej dodatnio, jak Grillparzera; a bliższe zaznajomienie się i zajęcie jego znakomitymi dramatai, zdaje mi się tem pożądansem, ileż przy rozkwicie innych działów poezyi właśnie nasz dramat nie dosięgnął jeszcze doskonałości.

---

## I.

(Rodzice poety. Dom rodzinny. Pobyt na wsi. Pierwsze nauki. Muzyka. Medarycz. Wychowanie domowe. Lektura. Gimnazyum. Uniwersytet. Wiersz piętnastoletniego. Studya prawnicze. Przyjaźnie. Choroba i śmierć ojca.)

---

Franciszek Grillparzer urodził się w Wiedniu d. 17 stycznia 1791, jako najstarszy syn adwokata dr. Wacława Grillparzera.

Ojciec jego, któremu interesa szły nie źle, według wszystkich świadectw, zakrawał na dziwaka. Słynąc z rzetelności, posuniętej aż do przesady, prowadził on życie zamknięte w sobie, nie udzielał się nikomu, odstraszał prawie pewną lodowatą szorstkością. Kochając namiętnie przyrodę, robił on częste przechadzki i wycieczki w najodleglejsze okolice, czasem w towarzystwie rodziny, częściej tylko najstarszego syna, i na tych to wycieczkach dziwnie jakoś serce jego tajało, stawał się rozmownym i wywnętrzał się chętnie ze swoich myśli i uczuć. Nie brakowało suchemu prawnikowi pewnej dozy wyobraźni: wysepkiem dunajowym nadał w własnej fantazji nazwy, a lubował się niepomierne w średniowiecznych, pełnych tajemniczości opowieściach o duchach i strachach (co Niemiec nazywa *Ritter- und Geistergeschichten*), które syn mu czytywał, a on popijając piwo i stojąc przy ogromnym szwedzkim kominie, poważnie do późnej nocy słuchał.

O matce poeta zwykł był się wyrażać, iż była na wskrós dobrą kobietą, mozoliła się z dziećmi, gospodarstwem się kłopotowała ile mogła, a największe zadowolenie znajdowała w muzyce, której z namiętnością się oddawała. Zamiłowanie to do muzyki wyniosła była z domu rodzicielskiego, gdyż ojciec jej, adwokat i syndyk Benedyktynów szkoekich w Wiedniu, dr. Krzysztof Sonnleithner, był sam kompozytorem i w gościnnych progach swych często gromadził liczne koło melomanów wiedeńskich z Mozartem i Haydnem na czele.

Franciszek miał jeszcze trzech braci. O młodości ich nie prawie nie wiemy. Najstarszy z nich, czyli najbliższy Franciszkowi wiekiem, nawet ojca przerażał uporem i krnąbrnością; następny był śliczny, rozpieszczony figlarz, a najmłodszy urodził się dopiero, kiedy Franciszek już młodzieńczego dorastał wieku.

Ponurość i bezkształtność lat swoich dziecinnych wiązał sam poeta po części z pomieszkaniem, w którym je przepędzał. Kamienica, leżąca w samym sercu starego Wiednia, podziśdzień mało zmieniona (pod l. 10, na *Bauernmarkt*) jestto pomnik masywnej, silnej budowy dawnych czasów, ale posiada też wszystkie cechujące budowle ówczesne wady. A że pomieszkanie pana komornika na pierwszym piątrze frontem nie na *Bauernmarkt*, ale na jakiś zakazany, brudny zaułek patrzyło, oficyna zaś na małe podwórko wychodziła, nie dziw przeto, że ogromne pokoje, w których meble gdzieś w zamroczu niknąć się zdawały, zaledwie od czasu do czasu, i to tylko w południe, kilku skąpych promieni słonecznych doczekać się mogły, a po części nawet w dzień świecić było potrzeba.

Posepne to pomieszkanie, którego obszerne pokoje łączyły długie kurytarze i schody, gdyż starodawnym zwyczajem nie leżały one wszystkie w jednym poziomie, przejmowały zgrozą dzieci, a żywa ich wyobraźnia zaludniła duchami, cyganami i zbójcami wszystkie komórki, schowki i spiżarnie, rojące się od szczurów, które ich niemałego nabawiały strachu. Malecy tak sobie temi rojeniami nabili główki, że nawet wśród wiejskiej ustroni, w której zwyczajem Wiedeńczyków rodzina pana komornika lato przepędzała, obawa duchów ścigała Franusia. A chociaż tam przedewszystkiem wśród krzewów, brzegi stawu gęsto zarastających, duchy umieszczał, toć przecie nie mógł się im i w pokoju opędzić. Pewnego razu Franus i brat jego, grając w bilar, wykrzyknęli nagle przestraszeni, a gdy przybieżono, oświadczyli, że widzieli stracha. Młodszy powiedział, że wyglądał jak jelonek (chrabaszcz), a obdarzony bujniejszą fantazyą poeta opisywał widmo jako czarną kobietę z długim welonem.

Tam na wsi, w *Enzersdorf am Gebirge*, wtajemniczył stary bakałarz Franusia w misterye sylabizowania. Zresztą tamowało swobodę wiejską tylko zbyt bliskie sąsiedztwo stawu, o którym wspomnieliśmy, gdyż ciągle dzieci dozoryowano z obawy, aby nie wpadły przypadkiem do wody. Przytem amatorstwo ogrodnicze starego Grillparzera — któremu dzieci krewnych, dom na wsi z nim na spółkę posiadających, zwykle były najprawidłowsze

grządkki lekkomyślnie tratować i każdy mozolnie wypielegnowany kwiatuśzek swywołnie zrywać — nieustannie na szwank narażane, stało się powodem coraz groźniejszych dysonansów w rodzinie, aż nareszcie wszyscy byli zadowoleni, że kupeca na dom znaleźli. Dopiero po kilku latach ciągłego pobytu w mieście, komornik najał ogród w Hernals, gdzie odtąd lato przepędzano.

Męczarnią lat dziecinnych poety stał się fortepian, którego naukę rozpoczęła matka z chłopcem, prawie nim jeszcze umiał używać rączek i nówek. Osoba najlepsza w istocie, zapominała jednak przy fortepianie o wszystkim: wrzeszczała jak furja nad uchem pacholęcia i z niecierpliwością bez miary odrywała od pomyłonego klawisza drobne jego paluszki. Dalszej nauki miał mu udzielać niejaki Medarycz, znakomity kontrapunkcista, człowiek genialny, ale lekkomyślny, leniwy i opuszczający się w najwyższym stopniu. Opowiadano o nim, że jako pianista nadworny Stanisława Augusta, ile razy król chciał go usłyszeć zniknął tylnymi drzwiami, aż go nareszcie odprawiono. Dziwaczny ten wirtuoz udzielał lekiej bardzo nieregularnie i niewłaściwie; częściej ze swym pupilem jak żak pod fortepianem po ziemi łąził, matkę zaś ujmował swą znakomitą grą i prześlicznem fantazowaniem. Chłopiec polubił go serdecznie, a chociaż od innego byłby się z pewnością więcej nauczył, u niego nabrał zamiłowania do muzyki, które pozostało mu na całe życie.

Już z tego, co dotąd powiedziałem, wynika, iż zbywało młodemu pokoleniu na właściwem kierownictwie pedagogicznem. Ojciec nie dbał o to, chciał tylko, żeby dzieci jak najprędzej coraz wyżej szły. Lubił rozkazywać i zarządzać, ale nie lubił dozorować. Toteż nauka jego dzieci powierzoną bywała niezdolnym rękóm, dzieci nie mając należytych wiadomości przygotowawczych i podstawowych, postępowały z mniejszą lub większą trudnością z klasy do klasy, a nie czując się nigdy silnemi i pewnemi, nie mogły znaleźć szczególnej przyjemności w szkołach. Tak było z Franusiem w szkole niższej, tak w gimnazyum; uchodził za chłopca bardzo miernych zdolności.

Skoro zaś czytać umiał, połykał cokolwiek mu do rąk wpadło. Nie było tego wiele i musiał chować się przed ojciem, ale zato, co pochwycił, czytywał od deski do deski, a nie mając na razie nic nowego, zaczynał od początku to samo. Między innemi biblia nowego zakonu, libretto „Fletu czarodziejskiego“, które on wraz z pokojówką wtedy za najwyższy szczyt polotu myśli ludzkiej uważali, staroświeckie tłumaczenie Kureyusa o przygodach Aleksan-

dra Wielkiego, dzieje świętych męczenników Ojca Kochema — zapłodniały wyobraźnię chłopca. Męczennicy chrześcijańscy tak dalece rozпалиły go, iż chciał koniecznie zostać pustelnikiem i męczennikiem, wykroił sobie ornat ze złotego papieru i mszę odprawiał.

Naśladowanie obrzędów kościelnych wspólne jest wszystkim prawie małym chłopcom, ale w tym wypadku dla tego wspomnieć o tem wypada, gdyż dzieci Grillparzerów kościoł prawie ze słuchu tylko znały. Ojciec, w epoce Jozefińskiej wychowany, nie wiele dbał o ćwiczenia nabożne; matka chodziła co niedzielę do kościoła, a za nią lokaj z książką do modlenia; dzieci tak jakby nigdy. Nawet później w gimnazyum Franciszek tylko z zachowania się współuczni poznawał, kiedy klękać, wstawać lub bić się w piersi należy.

Wspomniemy jeszcze kilka szczegółów z lat gimnazyalnych poety. Po egzaminie wstępnym, który się od biedy udał, wstąpił Franciszek jako publiczny uczeń do II klasy gimnazyum św. Anny. Zajmował on tu zawsze miejsce pomiędzy miernymi w tylnych ławkach i z trudem tylko przechodził do następnej klasy. Dopiero w wyższych klasach jednym wypracowaniem niemieckiem i jednym wierszem na dany temat zwrócił na siebie uwagę profesorów, chociaż jeden z nich utrzymywał, iż ze wszystkich uczni Grillparzer najmniejszy talent wierszowania i najmniej poczucia rytmu posiada, a inny pragnął go przedewszystkiem na geografa kształcić. W ogóle postęp był nieszczególny, a w wiedzy wymaganej braków pełno. Ale gdy przyszło do lektury Horacego, Grillparzer mimo braku językowej wiedzy najwięcej zrozumienia stosunków starożytnych i myśli poety okazywał. Sam tedy potrzebę uczuł powetowania tego, co zaniedbał przez lat tyle. Tak-nakoniec lubo najmłodszy wiekiem w całej klasie, ukończył szczęśliwie gimnazyum.

Biblioteka ojca stała mu tymczasem otworem, z której czerpiąc, wzbogacał zasób swoich wiadomości w dziedzinie geografii, naturalnej historii, a przedewszystkiem dziejów, których całość kształt poznał z ogromnej historii powszechnej Guthrego i Graya w 92 tomach. W poezyi najbardziej zachwycał się idylami Gessnera, z Goethego, Schillera, Szekspira zaledwie po jednym utworze poznał, a komedia Gozzego „Kruk“ podobała mu się wtedy bardziej, niż wszystkie arcydzieła. Oprócz tego w ostatnich latach gimnazyalnych i na uniwersytecie nie mógł się nasycić lekturą płytkich powieściowych ramot Spiessów, Kramerów i Lafontainów, które składy ówczesnych księgarń powodziały zalewały.



Piętnaście lat mając, przeszedł Grillparzer na uniwersytet, czyli na tak zwaną filozofię. Jak gimnazyja, tak i uniwersytety w Austrii pozostawiały wtedy bardzo dużo do życzenia. Naukę udzielali pedanci mechanicznie, a o rozszerzanie granic umiejętności, o zdobywanie dla niej nowych krzewicieli w sercach młodych nikt nie dbał. Magistrowie bywali do tego stopnia zaciętrzewieni, że n. p. profesor filozofii, który na podstawie zastarzałego formalizmu Wolffa, czezym szematem dystynkcyj i dywizyj umiejętność swoją zbywał, z bohaterską dumą nieraz wykład przerywał wykrzykiem: Przystąp tu, o Kancie, i obal mi ten dowód! A profesor estetyki wcale nie estetycznie rozprawiał się wobec uczni z profesorem filozofii, przyczem się nawzajem tytułowali pedantami i ignorantami.

Ktokolwiek zna nieco stosunki, jakie wówczas na uniwersytetach austriackich panowały, przyzna, że przy większych zdolnościach tylko nadzwyczajna, przymus sobie zadająca pilność wytrwać tu mogła. Grillparzer nie posiadał tej sztuki. Nigdy wprawdzie wykładów nie opuszczał, ale myśli jego daleko od nich odbiegały. Serdeczną pogardę, którą żywił dla profesorów, przenosił także na ich naukę i lekcewałzył sobie egzamin obowiązkowy, którym się każde półrocze kończyło: przy pierwszym egzaminie — padł. Nie surowość ojca, który nie bardzo się dopytywał o postępy syna w naukach, ale własna ambicya tak silnie podziałała, iż zaraz w następnem półroczu ci sami profesorowie przyznali mu *primam cum ingenii laude*.

Już przedtem wspomnieliśmy o jego twórczości poetycznej, która już w gimnazyjaliście budzić się poczyniała. Ojciec bardzo nieprzychylnem okiem patrzył na te porywy, a krytykę swoją, podobnie jak Kato, stałym zwykł był kończyć frazesem, mianowicie: *Du wirst noch auf dem Miste krepieren*. Jednakowoż po raz pierwszy zoil nie mógł utaić swego zadowolenia, gdy wiersz piętnastoletniego syna (najdawniejszy nam zachowany) uzyskał pewną popularność.

Ojciec i syn, najgorętsi patryoci, odczuwali głęboko wszelkie upokorzenie drogiej ojezyny, a tu przyszło im patrzeć na katastrofę ulmską i na wjazd tryumfalny zwycięskiego Korsykanina do stołecznego Wiednia. Winę porażek opinia publiczna zwałała na niedołążną administracyą i na dowództwo wojskowe, niedorośle swemu zadaniu. Otóż gorzki żal, miotający sercem patryoty, natchnął młodego Grillparzera do wiersza p. t.: *Schlecht und recht*, w którym lapidarnymi i prostymi wyrazami w każdej z sześciu

zwrotek przeciwstawia rozmaite objawy wstecznego w rzeczywistości kierunku, objawom idealnym, których serce patrioty daremnie pragnie. Styl wiersza tego w najwyższym stopniu nieoględny i niecenzuralny tłómaczy nam obawę o całą przyszłość syna, która przejęła komornika, gdy usłyszał ten wybuch gniewu patriotycznego z ust jego. Ale wiersz był wyrazem uczuć powszechnych i z rąk do rąk podawano go sobie, chociaż autora nikt nie znał.

Po ukończeniu studyów filozoficznych wstąpił Grillparzer na wydział prawniczy. Wiedząc, iż ojca swego tem najmocniej uraduje, ślęczał przed każdym egzaminem sześć do ośmiu tygodni nad książkami i jako wynik gorliwej pracy przynosił ojcu najpochlebniejsze świadectwa. Przy tem wszystkiem, i mimo że zdaniem zawołanych prawników wiadomości jego prawnicze były chlubą starej szkoły austriackiej, przyznaje sam, iż przedmioty te tylko mało go zajmowały. Zgoła innym kierunkiem szedł tok jego myśli, które żywo wymieniał z przyjaciółmi: Meillerem, z którym razem beletrystyczne czasopismo wydawać zamierzał — a po tegoż wczesnej śmierci, z Altmütterem, później słynnym profesorem technologii przy politechnice wiedeńskiej. Młodzi ludzie snuli razem najświetniejsze marzenia o przyszłości, widząc siebie na świeczniku, ten w nauce, tamten w poezyi; razem przebywali w ciasniejszym kółku rówieśników, które nawzajem się pouczało, wspólnie bawiło i wspólnie się utwierdzało w nieustannej dążności ku wyższym celom. Pogodnie i pięknie po ponurych dniach dzieciństwa rozwijało się życie młodzieńca.

„Ale w pogodnej nawet naturze  
Uderza piorun, powstają burze.  
Pośród żywota szczęśliwej doby  
Możesz nieszczęścia doznać żałoby.“

Nagle komornik zaczął chorować. Była to słabość piersiowa, przy której długie jeszcze lata żyć mógł. Lecz rozmaite zewnętrzne wpływy przyspieszały bieg choroby i niweczyły nadzieje, które lekarze żywili. Stosunki jego materyalne nagle zaczęły się pogorszać. Konieczne przenosiny i adaptacya nowego pomieszkania (jeszcze za zupełnego zdrowia) pochłonęły największą część oszczędności. Sprzeniewierzenie solicytatora przyprawiło go o znaczną stratę, a nieustające podatki wojenne, kontrybucye, kwaterunki wyciągały grosz po groszu. Skutkiem ciągłych a przytem nieszczęśliwych wojen, panował zupełny we wszystkich spr-

wach zastój, a drożyzna coraz się wzmagala. Nareszcie notował biedny ojciec Grillparzera w rubryce dochodów miesięcznych drżącą ręką same *nihil*, co więcej był zmuszony dług zaciągnąć, on, którego surowe zapatrywanie dług i kradzież za identyczne pojęcia uważało.

Ale dobiła patryotę dola monarchii. Słuchajmy opowiadania syna:

„Świadomość, że wróg dzierży miasto, przerażała go, a gdy się spotykał z Francuzem, odczuwał to jak pchnięcie sztyletu. A przecież mimo zwyczaju swego, co wieczór przechadzał się po ulicach, tylko aby w razie zatargu między Francuzem i rodakiem bronić i wesprzeć obywatela. Bitwa pod Aspern owiała go otuchą, za to klęska pod Wagram odebrała wszelką nadzieję, a zdrowie pędziło szybko ku kresowi...

„Nareszcie nadeszła chwila rozstrzygająca. Ojciec mój wtedy już przez największą część dnia przykuty był do łoża. Tailiśmy przed nim ile możności istotny stan rzeczy. Musiał się jednak jakoś dowiedzieć, albowiem w najwyższym rozdrażnieniu kazał mi natychmiast postarać się o drukowany egzemplarz traktatu, którym, jak wiadomo, trzecią część monarchii odstąpiono Francji. Sam przeczytał go w całości, potem odłożył i odwrócił się ku ścianie. Od tej chwili słowa prawie już nie mówił... W kilka dni później około południa nagle kilka razy mocniej odetchnął... i już nie żył (d. 10 listopada 1809 r.; miał tedy lat dopiero 49).

„Ojca swego — tak kończy się to opowiadanie — prawdziwie serdecznie nigdy nie kochałem. Raził zbytnią szorstkością, a starał się i umiał niezrównanie zamykać w sobie wszelkie objawy własnego uczucia, przez co uniemożliwiał prawie zbliżenie się do siebie drugich i odtrącał ich. Dopiero później pojąłem niejedyn powód jego działania, a dotychczas trwająca sława jego rzetelności, prawie niepodobnej do wiary, uszczęśliwiała mnie, i — o ile to możebna — do naśladowania zachęcała: to też oddawałem jego pośmiertnej pamięci, czego za życia w części względem niego zaniedbałem“.

## II.

(Położenie rodziny. „Blanka“. Teatr. Hr. Seillern. Posada w bibliotece nadwornej. Niebezpieczna choroba. Recydywa. Zmiana służby. Schreyvogel. Zachęta i praca.)

---

Zgon ojca zmienił zupełnie położenie rodziny i zwałił na głowę najstarszego syna obowiązek opieki i utrzymania. Ponieważ należytości, które za sprawy kancelaryjne nieboszczykowi jeszcze przysługiwały, jak zwykle w takich razach, zredukowano na część dziesiątą, więc kiedy dług powyżej wspomniany zapłacono, prawie nie osierociłej rodzinie nie zostało. Gdy się do tego przyłączyło bankructwo państwowe, przyszło do tego, że pensya, którą troskliwy komornik corocznemi wkładkami zapewnił wdowie, zesłała na 90 reńskich monety papierowej rocznie. Z tego miała utrzymać się wdowa razem z dziećmi!

Franciszek liczył wtedy 18 lat i był na trzecim roku praw. Drugi brat Karol po najciekawszych przygodach, które mogłyby się wydawać powieścią, znikł nagle bez śladu. Trzeciego brata, Kamila, przyjął pewien mandataryusz jako nauczyciela muzyki do domu swego. Czwarty jako śpiewak (*Hofsängerknabe*) miał się dostać do konwiktus cesarskiego. W pierwszej tedy chwili cała nadzieja rodziny polegała na Franciszku. Lekeye, które za poleceniem profesorów u bogatych słuchaczy praw objął, stały się pożądanem źródłem dochodu. Ale i poezya miała mu przyjść w pomoc, mianowicie tragedia, która oddawna już spoczywała w tece prawnika.

Scena już od lat dziecinnych nie była obcą Grillparzerowi. Rzadko wprawdzie prowadzono dzieci do teatru, ale tem mocniej za to tkwiły w ich pamięci czyli raczej wyobraźni wrażenia awanturniczych i fantastycznych sztuk (*Ritter- und Geisterstücke*), jakie i dziś jeszcze, tylko rzadziej, wprowadzają w zachwyty pu-

bliczność, przeważnie z najmłodszej generacji wiedeńskiej złożoną. Wrażenia takie, odświeżane i potęgowane opowiadaniem jakiegoś krewniaka, w rozkoszach teatralnych zamiłowanego, nakłoniły małych Grillparzerów nawet do scenicznych przedstawień sztuk w wspomnianym rodzaju, przy czem najstarszy, choć sam młodziutki chłopczek, szkicował ustnie ogólny przebieg akcji (jedy- nie utwór Spiessa: „Klara von Hoheneichen“ zredukował piśmien- nie dla potrzeb scenicznych na trzecią część), a resztę pozostawiano improwizacyi.

Amatorskie przedstawienia komedyj salonowych, dawane później w domu babki, nie podobały się gimnazyjaście, ponie- waż dō wesołego rodzaju należały; ale bądź co bądź do znajo- mości sceny przyczynić się musiały. Jako „filozof“ wiele uczęszczał do teatru, widział między innymi *Zbójców*, *Fieska*, *Intrygę i Mi- łość* i *Don Karlosa*. Zwłaszcza *Don Karlos* tak dalece zachwycił Grillparzera, iż sam wziął się do napisania tragedyi również na tle historii hiszpańskiej, p. t. *Blanka z Kastylji*. Nie spieszyło mu się, pisał więc powoli, ciągle mając na myśli *Don Karlosa*.

Jak wiadomo, zarzucają *Don Karlosowi* błędy, wynikłe ztąd, że poeta w ciągu pisania zmienił założenie swego dzieła; prze- kroczył pierwotnie nakreślone ramy dramatu familijnego i boha- tera najpierw upatrzonogo na drugi plan posunął — zmuszony zaś w dalszym ciągu dramatu uzupełnić, czego pierwotne zało- żenie nie potrzebowało, stworzył rzecz przydługą, która odegrana w całości dwa wieczory zająć by musiała. Otóż utwór młodzieńczy Grillparzera — jak on sam powiada — dzielił ze swoim wzorem także te dwie wady: plan zmienił się w ciągu pracy, i całość stała się za długą.

*Blanki* dotychczas nie drukowano, chociaż istnieje ona w ma- nuskrypecie; poeta sam nie chciał ogłaszać swoich prób młodzień- czych. Laube podaje w ostatniej książce swej obszernie streszcze- nie *Blanki*. Ten kompetentny niewątpliwie sędzia uznaje w pierw- szych aktach tego utworu niepowszedni talent kompozycyjny. Za- raz pierwsze sceny budzą wielkie zajęcie i rozgałęziają akcyę z umiejętnością niesłychaną u piętnastoletniego autora.

Ojcu nie pokazał Franciszek dzieła swego i spoczywało ono w tece, znane chyba tylko rówieśnikom autora. Dopiero po śmierci ojca Grillparzer rękopis, za pomocą przyjaciół przepisany, wręczył wujowi swemu, Józefowi Sonnleithnerowi, który po rozli- cznych kolejach awanturniczego życia (jegoto miał na myśli stary Grillparzer, gdy syna od karyery literackiej wstrzymywał) dobił

się nakoniec szczęśliwie do przystani, zostając sekretarzem i dramaturgiem teatru nadwornego. Ale wuj, gdy autor po długim czasie o to się dopominał, zwrócił mu rękopis jako niezdatny, chociaż prawdopodobnie nie czytał go wcale, bo strasznie był leniwy; inaczej nie mógłby był nie zwrócić uwagi na talent, który bądź co bądź przebijał się w dziele jego siostrzeńca. Odpalonemu poecie przypomniawszy się wróżba nieboszczyka ojca i myślał o tém, czy istotnie nie lepiej — wyrzec się poezyi, a przedewszystkiem dramatycznej. Nie dziwny się takim myślom, bo gdzież jest geniusz, któryby w krytycznych chwilach, gdy nieszczęście go nawiedzi, gdy nie znajduje uznania dla swych usiłowań, a kłopot o najnieodzowniejsze potrzeby codzien go przytłacza — nie zwątpił o sobie!...

Młody Grillparzer, skończywszy studia prawnicze, a nie czując zbytnej chęci wstąpienia do służby rządowej, przyjął miejsce instruktora przy młodszym o rok hr. Seillern. Zobowiązał się do udzielania instrukcyj w nauce prawa, a ponieważ młody hrabia miał gubernera, ograniczało się więc Grillparzera zajęcie przy nim do dwóch lub trzech godzin dziennie — a stała, choć niewielka renumeracya była matce poety bardzo na rękę. Miał w domu hrabiego wikt i mieszkanie, szperał w bibliotece jego, ucząc się na książkach angielskich tego języka, a lato przepędzał w dobrach morawskich. Stary hrabia uważał go za „jakobina“, którem to mianem obdarzano wtedy w Austrii wszystkich prawie ludzi utalentowanych, zwłaszcza zajmujących się literaturą. Żeby ile możności zmodyfikować to podejrzenie o jakobinizm, nadawał Grillparzer wszystkim swoim brulionom, w których spisywał wiersze ulotne, dramatyczne i obrazki z życia familijnego, jakie wówczas układał — takie napisy, jakoby to były tłómaczenia z francuskiego lub angielskiego, robione dla wprawy w tych językach. Zresztą nie było mu tam z początku tak bardzo źle.

W lutym 1813 r. zamianowano go bezpłatnym conceptowym praktykantem przy c. k. bibliotece nadwornej. Naturalnie, że mimo osiągnięcia tego pierwszego stopnia hierarchii urzędniczej trwały lekye dalej, a w czasie feryj letnich towarzyszył nawet hrabstwu na zameczek Lukowski w Morawii, który wybrano dlatego na pobyt letni, ponieważ ze wszystkich posiadłości hrabiego ta od ówczesnego teatru wojny najbardziej była oddalona. Wakacje te Grillparzer omal życiem nie opłacił.

Pewnej niedzieli podczas jazdy otwartym wózkiem nagłą zaskoczony ulewą, zmókł do nitki, a nie było możebności zmienić natychmiast odzieży. Toteż nagle strząśł nim silny dreszcz, a na drugi dzień zbudził się rano z zatrważającą gorączką, którą chirurg hrabiego za febrę tyfusową uznał. Ponieważ wszyscy obawiali się możebnego zarażenia, przeto nie pozostawili biedaka w zamku, lecz oddali go do pobliskiego domu cyrulika wiejskiego. Tam odwiedzał go codziennie tylko chirurg, zresztą nikt, skutkiem wyraźnego zakazu starego hrabiego. Ale pewnego wieczora przyszła hrabina, usiadła przy chorym i płakała. Na drugi dzień domyślił się pacjent przyczyny tych odwiedzin. Hrabstwo z całym dworem wraz z chirurgiem odjechali, a dawnego domownika swego zostawili na łasce losu i — cyrulika. Ten pozostawiał w pokoju tęgiego parobka, który pojmował zadanie doglądania chorego w ten sposób, iż skoro cyrulik się oddalił, zasypiał jak bóbr i chrapał przez całą noc tak niemiłosiernie, że pacjent ani oka zmróżyć nie mógł. Śród najstraszniejszych gorączkowych fantazji mijały dnie porzuconemu nieszczęsnemu samotnikowi, nikt go nie pielęgnował, nikt z nim nie rozmawiał; raz tylko — ksiądz przyszedł, aby go na śmierć przygotować. Nareszcie zwyciężyła młodość i zaczął przychodzić do zdrowia. Gdy pierwszy raz uczuł apetyt, podano mu jako potrawę dla chorych — zajęcia z knedlami, a rekonwalescentowi, gdy już mógł się przechadzać po sadzie, pozwolili „lekarz“ jeść tyle śliwek dojrzałych, ile mu się podoba.

Rzecz naturalna, że biedny Grillparzer, skoro tylko mógł, popędził co tchu do Wiednia. Hrabstwo tłómaczyli postępowanie swoje okolicznością, że — byli pewni, iż dla niego ratunku już nie ma. Matka nie długo cieszyła się zwróconym sobie synem, gdyż zaledwie przybył do Wiednia, wpadł w recydywę, objawiającą się zastraszającym upadkiem sił i nieustannymi potami. Ale i to powtórne niebezpieczeństwo życia przeszło w krótkim czasie dzięki umiejętności wieloletniego lekarza domowego Grillparzerów, który nie chciał przyjąć żadnej zapłaty za swoje starania, gdyż, jak mówił, czuł się dostatecznie wynagrodzonym tą świadomością, że wyzdrowienie, w które sam nie wierzył, jest jednym z tych nielicznych wypadków jego praktyki, którymi jako lekarz chlubić się może.

Mimo żalu, jaki do rodziny młodego hrabiego Grillparzer słusznie żywić mógł, pozostał jednak w dawniejszym do niej stosunku, a to ze względu na konieczność zarabiania na utrzymanie swoje i matki. Nareszcie skończyły się lekye, a hrabstwo, którzy — wpraw-

dzie tylko ustnie — zobowiązali się byli do wypłacania skromnej pensyjki bezpłatnemu praktykantowi aż do postąpienia na pierwszą posadę płatną, wzbraniali się obietnicy dotrzymać. Dopiero wdanie się trzecich osób skłoniło ich do uiszczenia się z przyjętego względem Grillparzera zobowiązania.

W bibliotece miał Grillparzer wiele czasu na zajmowanie się lekturą klasyków starożytnych, a prócz języków francuskiego, angielskiego i włoskiego, już dawniej mu znanych, nabył gruntowną znajomość języka hiszpańskiego. Niewłaściwe zachowywanie się ograniczonych przełożonych urzędników wobec młodszych skłoniło go jednak do zmiany służby, gdy hrabia Herberstein, wiceprezes c. k. nadwornej komory skarbowej, przypomniawszy sobie dawną z ojcem jego znajomość, wezwał go do siebie, i przedstawiając mu że w służbie biblioteczej nie ma widoków, aby mógł odpowiedzieć obowiązkom swoim względem matki i rodzeństwa, zachęcał go do przejścia w służbę skarbową. W późnej jesieni 1813 poszedł Grillparzer za tą wskazówką; dnia 8 marca 1815 został zamianowany praktykantem conceptowym przy c. k. komorze nadwornej z pensją roczną 300 złotych.

Właśnie około tego czasu miano przedstawiać w teatrze nadwornym dramat Calderona: „Życie snem“ w przekładzie czyli przerobieniu Westa, pod którym to pseudonimem ukrywał się ówczesny dramaturg teatru nadwornego, Józef Schreyvogel. Wtedy także Grillparzer przełożył był, ale tylko dla ćwiczenia w języku, początek wspomnianego dramatu. Za pośrednictwem jednego z przyjaciół dostała się ta praca do rąk niejakiego Hebenstreita, redaktora *Wiener-Modenzeitung*, który nazajutrz po przedstawieniu dramatu w teatrze umieścił w piśmie swem fragment Grillparzera, ale tylko w tym celu, aby mu służył jako punkt oparcia dla najbezpieczniejszych wycieczek przeciwko Schreyvoglowi i całej literackiej działalności jego. Schreyvogel z tego powodu nie miał czuć żal do Grillparzera, z którego rodzicami zostawał w zażyłości i nieraz w ich domu przebywał. Ale gdy się dowiedział, że bez wiedzy i woli Grillparzera zrobiono tak niewłaściwy użytek z fragmentu jego przekładu, okazał żywą chęć zaznajomienia się bliżej z młodym pisarzem. Schreyvogel wywierał odtąd nie mały wpływ na Grillparzera i co więcej, według własnego jego wyznania, wprowadził go prawie mimo jego woli do literatury.

Józef Schreyvogel, w r. 1768 w Wiedniu urodzony, poświęcał się wcześniej literaturze, potem udał się do Jeny, gdzie



się poznał z Schillerem. Powróciwszy do Wiednia, oddawał się rozmaitym, ale zawsze z piśmiennictwem w łączności pozostającym zatrudnieniom, aż wreszcie w r. 1807 założył *Sonntags-Blatt*, czasopismo literackie (o innych w ówczesnych stosunkach prawie mowy być nie mogło), w którym, opierając się na tradycyi klasyków niemieckich i na teoriach Lessinga, toczył niemiłosierną i śmiałą wojnę z wszechwładnymi wówczas, ale zarozumiałymi, despotycznymi, a w gruncie rzeczy niedołężnymi na polu produktywnej poezyi romantykami: braćmi Schlegel *e tutti quanti*. Ale najodpowiedniejsze pole dla swego talentu znalazł on dopiero w r. 1814, kiedy to pod skromnym tytułem sekretarza teatralnego objawszy artystyczną dyrekcję sceny nadwornej, 18-letnią pracą w tym kierunku stworzył właściwie teatr Burgu, uczynił go pierwszą sceną niemiecką i silnie ugruntował reputacją jego dotychczas trwającą.

Rzadko w sprawach literackich spotykamy się z podobną jednogłością, jaka cechuje uznanie niepospolitych zasług Schreyvogla jako kierownika sceny nadwornej. Również godzi się wspomnieć, iż dotychczas nie zeszyły z repertuarów zastosowane do wymagań estetycznych czasów dzisiejszych, jego przerobienia dwóch dramatów Calderona i komedyi Moreta p. n. *Donna Diana* (w oryginale: *El desden con el desden*).

Przyszło tedy do widzenia się Grillparzera ze Schreyvoglem, który młodego człowieka bardzo uprzejmie i przyjaźnie przyjął, pochwalił jego tłumaczenie, a między innymi zapytał, czy nie czuje w sobie chęci i zdolności do oryginalnych prac dramatycznych. Właśnie wtedy złożyła się była w wyobraźni Grillparzera z dwóch opowiadań, które czytał, fabuła dramatu, a nawet plan w umyśle był już gotów. Schreyvogel słysząc to wszystko żywo opowiadane, uniesiony zapalem zawołał: „Sztuka gotowa, trzeba ją tylko spisać“. Grillparzer wzbraniał się, Schreyvogel nacierał, aby pracy dokonał.

Pomimo takiej zachęty, Grillparzer nie zabrał się do wykonania swojego planu dramatycznego i nawet nie odwiedził Schreyvogla. Dopiero po dłuższym czasie spotkali się przypadkiem na przechadzce, a Schreyvogel z daleka już wołał: „Jak tam z Matką rodu“? Grillparzer odpowiada smutno: „Nie idzie“. Na co Schreyvogel: „Tak samo ja niegdyś odpowiedziałem Goethemu, gdy ten do pracy literackiej mnie zachęcał. Ale Goethe powiedział: trzeba tylko w dłoń dmuchnąć, a pójdzie już“.

Innemu ma iść tak łatwo, że tylko w dłoń dmuchnie — a ja miałbym nie nie zrobić? — pomyślał sobie Grillparzer i jeszcze podczas przechadzki ułożył kilka początkowych wierszy dramatu, które w domu kładąc się do łóżka napisał. Ale o spaniu nie było mowy; czuł się dziwnie rozstrojonym, chociaż o dramacie już nie myślał. Gdy nazajutrz wstał, wpada mu w oczy kartka z napisanymi wczoraj, a na pół zapomnianymi wierszami — zasiada do stołu i pisze dalej i dalej, nie kreśląc prawie, jednym ciągiem. Tak po 15 albo 16 dniach (a to z przerwami spowodowanymi innem zajęciem albo brakiem usposobienia poetycznego) była tragedia skończona.

---

### III.

(„Matka rodu“. Przekłady jej polskie „Schicksalsdramatiker“. „Safa“. Przedstawienie jej. Dziennikarstwo. „Wiener Jahrbücher“. Przekłady Brodzińskiego.

---

Hrabina, której potomkiem po kilku pokoleniach jest terazniejszy hrabia Zdenko Borotin, zamordowana przez męża swego z powodu nieprawych stosunków miłosnych, pozostawiła syna, pochodzącego z owego nieprawego stosunku, którego jednak mąż uznał. Nieprawy syn odziedzicza więc nazwisko rodowe, które mu właściwie nie należy, a duch matki rodu zjawia się, ile razy nieszczęście grozi jej rodowi, bo jej przeznaczeniem jest nie spocząć tak długo, dopokąd ostatni z nieprawego pokolenia nie zginie.

Hrabia Zdenko Borotin ma dwoje dzieci, syna i córkę. Syna już w pierwszej młodości porwał pewien zbójca i wychował na herszta bandy rozbójniczej. Pewnego dnia wybawia on własną siostrę, Bertę, z rąk swych towarzyszy i przedstawia jej się jako rycerz Jaromir von Eschen. Odtąd łączy ich wzajemna miłość. Oddział wojska, wysłany przeciw rozbójnikom, zmusza Jaromira do ucieczki do zamku Borotina, który córkę z nim zaręcza, i wnet wraz z żołnierzami, przez króla w tym celu wysłanymi, ciągnie przeciw zbójcom. Ale i Jaromir, uzbroiwszy się w pugiń, który na wieczną pamiątkę zamordowania nim matki rodu u ściany głównej sali zatknięty pozostał, wyskakuje z okna swego schronienia na pomoc towarzyszom i w zgiełku walki, wśród ciemnej nocy rani śmiertelnie hrabiego Borotina. Już przedtem wyznał był przed Bertą zbrodnie swoje, ale nie zachwiał przez to jej miłości, lecz owszem, nakłonił ją nawet do potajemnej ucieczki, którą naznaczono na godzinę północną. Teraz dowiaduje się od owego zbrojcy, który go dzieckiem porwał, ku swej bez-

miernej radości, że nie jest synem zbrojcy, że ojciec jego to możny hrabia, — ale w kilka chwil później słyszy potworną prawdę, iż on sam jest Borotinem, mordercą ojca, kochankiem siostry. Gdy zaślepiony dziką namiętnością, nie chce wierzyć prawdzie i rzec się kochanki, okazuje się matka rodu, odsłania mu zwłoki Berty, która w rozpacz trującą zażyła, i bierze potomka swego w zabójcze objęcia. Ród cały ginie, grzech matki zmazany, a duch jej wraca do spokojnego grobowca. —

Otóż treść tragedyi: „*Die Ahnfrau*“, którą poraz pierwszy przedstawiono w teatrze *an der Wien* d. 31 stycznia 1817 r. Sławna pani Schröder obrała była tę sztukę na swój benefis, a grano ją dlatego w teatrze *an der Wien*, a nie w Burgu, ponieważ tam sztuce tego rodzaju warunki sceniczne i skład personalu lepiej odpowiadały. Grillparzera nazwiska nie było na afiszu. Autor razem z matką i braciszkiem przypatrywali się z pierwszego piętra widowisku. Przedstawienie, chociaż znakomite, uczyniło na poecie najprzykrzejsze wrażenie; zdawało mu się, że widzi jakiś sen męczący urzeczywistnionym. Odtąd nie był już nigdy jako widz obecnym na przedstawieniu żadnego z dzieł swych.

Tym pierwszym dramatem swoim zasłynął autor nie tylko w Austrii, ale w całych Niemczech i nawet w innych krajach. Między innemi przetłómaczono „*Die Ahnfrau*“ także na język polski, i grano raz w Warszawie, gdzie Ludwik Osiński, wódz klasyków, najgorszy los jej wróżył. Ponieważ cenzura sztukę zakazała, nio było więc na razie mowy o dalszych przedstawieniach jej w Warszawie. Zato chwyciły się jej wkrótce trupy koczujące i rozniosły sławę efektywnej tragedyi po wszystkich okolicach. Tłómaczenie nie było wzorowe, ale też nie złe; tłómacz przeniósł scenę do Polski, skutkiem czego zmienił kilka nazwisk i przerobił cołwiek kilka ustępów. Wyszło zaś tłómaczenie w druku dopiero daleko później, p. t. Poezyje Stacha Doliwy z . . . . I. Teatr. (Taki napis na okładce, na kartce tytułowej zaś:) Matka rodu Dobratyńskich. Trajedya w pięciu aktach. Wierszem naśladowana z niemieckiego. (Wydawca Antoni Kozieradzki.) Lwów, w drukarni Zakł. Narod. im. Ossolińskich (na okładce 1851, na karcie tytułowej 1850).

W „Pismach wierszem i prozą“ Augusta Kretowicza, wydanych we Lwowie w 1827 r., mieści się w drugim tomiku na str. 83—97 nieszczególne tłumaczenie III. sceny aktu III. tej samej tragedyi pod tytułem: „Matka pokolenia“. Kretowicz z początku zapowiedział wydanie przekładu w całości, ale sam oświadcza,

iż tłumaczenie Starzyńskiego (ten ukrywa się za pseudonimem Stacha Doliwy z . . . .) wstrzymało go od wykonania swej myśli.

„Matka rodu“ postawiła Grillparzera jednym zamachem w rzędzie wybitnych popularnych poetów dramatycznych. Ale z drugiej strony stała się ona powodem, iż historycy literatury i estetycy według tego pierwszego dzieła, zaliczyli go do tak zwanych dramatyków fatalistycznych (*Schicksalsdramatiker*) razem z Müllnerem, Zacharyaszem Wernerem i Houwaldem.

Łączono go zatem (a po części łączą go nawet do dnia dzisiejszego w podręcznikach literatury) z tymi zapomnianymi autorami, i klątwę na nich rzuconą rozciągano także na Grillparzera, chociaż już *Die Ahnfrau* różni się wiele od owych okrzyczanych „dramatów fatalistycznych“, a długi szereg późniejszych dzieł poety pisany jest w rodzaju zupełnie odrębnym. Ale daremna była walka z przesądem, zagnieżdżonym w kompendyach, układających i klasyfikujących przedmiot według pewnych kategorii, nie zawsze słusznych i trafnych. Grillparzer dla leksykonów i podręczników był i pozostał *Schicksalsdramatiker*.

W „Matce rodu“ okazuje się jawnie wpływ dramatów hiszpańskich, a zwłaszcza Calderona *La devocion de la cruz*; styl i zewnętrzne akcesorya przypominają tu i ówdzie Müllnera. Do głównych wad tej tragedyi należy zupełny brak tragicznej winy u starego Borotina, którego śmierć niezasłużona, pełna grozy, wywiera w wysokim stopniu przybijające wrażenie; a i w osobach Berty i Jaromira raczej ślepemu, nieubłaganemu trafowi, niż winie tragicznej katastrofę przypisać musimy.

Grillparzer sam, a za nim Kuh i nawet Laube, kładli zarzut fatalizmu na karb zmian, poddanych poccie przez Schreyvogla, który radził, aby nie poprzestając na samym motywie grzechu matki rodu, także całe potomstwo ze zbrodniczego związku wyprowadzał. Ale ta rozsądna rada miała tylko pożądaną cel silniejszego związania ducha matki rodu z tokiem dramatu. Fatalizm był tam już od samego początku, chociaż fatalizm mniej sztuczny i zawikłany, niż u Müllnera i Wenera.

Jeżeli tedy „Matka rodu“ nie odpowiada wysokim wymogom tragedyi, nikt przecież nie odmówi jej nazwy dramatu podanego, *Ritter- und Geisterstück*, ale w najwznioślejszem tego słowa znaczeniu. Sam poeta przyznaje, że widząc w planie podobieństwo do takich dzieł teatrów przedmiejskich wahał się, czy ma plan ten wypracowywać. Dramat stał się istotnie tem, co z planu prze-

widywał Grillparzer; ale gdy wszystkie inne tego rodzaju utwory dawno w ką zruciono, pozostała „Matka rodu“ do dnia dzisiejszego najwyższą przedstawicielką pokrewnych sobie *Ritter- und Geisterstücke*. Sypie tam bowiem poezya, jak z rogu Amaltei, prawdziwe klejnoty, tryska z każdego słowa ognista wyobraźnia i ogniste serece.

Ale najwyższy podziw wzbudza spokojna pewność techniki (owoc częstego przypatrywania się widowiskom scenicznym) która przy całej bujności fantazyi i namiętności uczuć, występuje świetnie w rozwinięciu akcyi i w motywowaniu przejść po sobie następujących. —

Wrzała jeszcze w najlepsze po czasopismach walka krytyczna o „Matkę rodu“, gdy młody poeta już nową pracę przygotowywał w innym zupełnie rodzaju. Spotykając się bowiem nieraz z zarzutem, jakoby zbójeami, duchami i tym podobnymi środkami łatwe efekta wywoływał, pragnął dowieść potęgi swej twórczej siły poetycznej utworem, którego powodzenia nie podobnaby przypisać czynnikom poza obrębem samej poezyi działającym.

Przypadek nadarzył mu przedmiot. Grillparzer spotkał pewnego popołudnia na przechadzce znajomego, który zapytał go w imieniu kapelmistrza Weigla, czy nie zecheiałby temuż dostarczyć libretta do opery, osnutego na tle życia Safony. Grillparzer zrobił uwagę, że to byłby temat do tragedyi, na co odparł tamten, że przedmiot za ubogi jest w wypadki, żeby mógł dostarczyć treści do tragedyi. Ale poeta nie podzielał bynajmniej tego zdania i pożegnawszy owego znajomego wydumał tego samego dnia na dalszej samotnej przechadzce po błoniach Prateru całą tragedye.

Wróciwszy do domu wziął się natychmiast w cichym pokoiku swoim do pracy, i to tak energicznie, że w ciągu trzech tygodni (mimo zajęcia biurowego) „Safona“ była gotowa. Taki sposób tworzenia uważał zawsze za najwłaściwszy; rozdrażniony w wysokim stopniu i porwany przedmiotem, wlewał cały ogień duszy swojej w postaci żywej wyobraźni i tak długo nie chłódł w gorączkowym zapale i natężeniu wszystkich sił ducha w jednym kierunku, dopokąd nie dokonał dzieła: poczem dopiero znowu się uspokajał i wracał do zwykłego trybu życia.

Wątku do tragedyi dostarczyła Grillparzerowi znana już w starożytności plotka, głównie na podstawie brudnych komedyo-pisarzy atycznych wylęgła, o stosunku miłosnym wielkiej Lesbijki z nadobnym Faonem, który to stosunek skończyć się miał tak, że zawiedziona w uczuciach swoich poetka rzuciła się w morze ze

skąły Leukadyjskiej. Tę poziomą anegdotkę trzeba było wynieść w sferę poezyi, trzeba było utworzyć charaktery nie tylko Safony i Faona, lecz zarazem i innych osób, które równie jak cała akcja, w fantazji poety poczęte być musiały. I tak powstał dramat psychologiczny, o głównej idei podobnej do „Tassa“ Goethego, ale wnikający głębiej w zagadnienie sprzeczności między życiem a poezją, barwniejszy w układzie, żywszy akcją, dramat, o którym zapisał Byron pod d. 12 stycznia 182 r. w swoim dzienniku:

„Północ! Czytałem Gwidona Sorellego włoskie tłumaczenie „Safony“ Niemca Grillparzera. Grillparzer! dyabelskie imię; ale trzeba będzie nauczyć się je wymawiać. Mimo wszystko, co odliczyć wypada na karb tłumaczenia, zwłaszcza włoskiego, tragedia „Safo“ jest imponującą i wzniosłą, temu przeczyć niepodobna; autor sztuką tą wielkiej rzeczy dokazał. A któż on jest? Ja go nie znam, ale wieki go poznają.“

Oto treść tragedyi w najgłówniejszych rysach:

Sława Safony i jej pieśni dolatuje do najdalszych kresów Hellady. Pewien młodzieniec, imieniem Faon, syn niezamożnych rodziców, mieszkających gdzieś w zapomnianym jakimś zakątku, nasłuchawszy się od dzieciństwa pieśni lesbijskiej śpiewaczki, tworzy sobie w wyobraźni uroczy jej obraz i uczuwa niepohamowany pociąg zobaczenia jej i poznania. Wędruje tedy w tym celu na igrzyska olimpijskie, gdzie olśniony pada u nóg zwycięskiej w walce śpiewaków poetki, która wzruszona do głębi i zachwycona hołdem niezsputego serca, zapłonęła gorącą miłością ku idealnie pięknemu młodzieńcowi. Wiezie go ze sobą do ojczyzny i swoim domownikom jako pana, a współobywatelom jako towarzysza życia przedstawia. Safona wzięła ubóstwianie poetki za wyznanie miłości, a Faon nie miał jeszcze czasu ochłonąć z potężnego wrażenia, jakie na nim zrobiło to, że jego, skromnego, nieznanego młodzieńca chce uszczęśliwić wzniosła mistrzyni, czczona w ojczyźnie tak prawie, jakoby nieśmiertelna mieszkanka Helikonu lub Olimpu.

Oszołomiony wielkością poetki ocknął się młodzieniec dopiero na widok łez pięknej Melitty, uroczego pączka, wyrastającego pod okiem Safony. Biedna ta niewolnica płacze za swoimi, za chatą rodzinną, a świadkiem tej tęsknoty staje się Faon, który również za rodzicami i ich domkiem tęsknić poczyna. Uczucie to wnet ich zbliża i spoufala, co oka Safony ujść nie może. W łonie jej budzi się piekielna zazdrość, która wstrząsa nią coraz silniej, a w końcu doprowadza do takiego roznamiętnienia, że posuwa się

aż do okrutnego krzywdzenia zakochanej pary. Każę tedy porwać potajemnie Melittę, ale Faon, dowiedziawszy się o zamiarze Safony, niweczy jej zamach i ucieka z kochanką. Powolni zakłęciom poetki Lesbijczycy puszczają się jednak w pogon za uciekającymi, dopędzają ich i przyprowadzają napowrót. Wówczas wyrzuci rozżalony Faon Safonie niegodne względem siebie i Melitty postępowanie, maluje jej w jaskrawych barwach, jaką jest, a jak inną zupełnie wystawiał on ją sobie w wyobraźni swojej, i kończy wezwaniem, żeby się zastanowiła, co czyni i czem się staje, tak czyniąc. Mowa Faona wraca poetce zachwianą przez namiętność równowagę, odzyskuje siłę ducha, wyższą nad miarę pospolitych ludzi, rzeka się rozkoszy ziemskich i bez żalu do świata, do Faona i Melitty, rzuca się w morze, aby powrócić do właściwej ojczyzny swojej, do bogów olimpijskich. Tą dobrowolną śmiercią odpokutowuje grzech, że cześć dla swego geniusza poczytała za miłość i że dla rozkoszy zmysłowej zapomniała o wyższem powołaniu swoim. —

Oprócz osób, które wymieniliśmy w krótkim szkicu, występują jeszcze w dramacie: służąca Eucharis i stary sługa Safony Ramnes. Ten zwłaszcza jest charakterem oryginalnym: jest to starzec, uległy Safonie i ubóstwiający ją, trochę gderający i zgryźliwy, jak zwyczajnie starcy, ale przy tem dobroduszny. On to otrzymuje od swej pani rozkaz odwiezienia Melitty.

Przytaczamy tu zabawną, a w wysokim stopniu dramatyczną i charakterystyczną scenę między zafrasowanym starcem i przeżaloną Melittą. (Akt czwarty, scena czwarta — przekład prozaiczny Kazim. Brodzińskiego):

MELITTA.

Tu miała być pani nasza, mówiłeś? Nie widzę jej.

RAMNES (*ogładając się*).

Nie! prawdziwie nie masz jej. — Dopiero tu była. Więc pójdź za mną.

MELITTA.

Gdzie?

RAMNES.

Zapewne wyszła tam na brzeg morza.



MELITTA.

Tam ona nigdy nie chodzi.

RAMNES.

Ale może dzisiaj.

MELITTA.

Czemużby dzisiaj?

RAMNES.

Czemu? Tak — ponieważ — sama mi o tem mówiła. —  
Co jej mam powiedzieć?

MELITTA.

Co tobie? Mówisz, ale oczy nie śmia potwierdzać słów  
twoich. Czemu tak jesteś niespokojny? Powiedz mi, gdzie Safo,  
muszę iść, gdy mnie woła, a jeżeli nie wiesz, ja jej sama poszukam.

RAMNES.

Czekaj! nie możesz odejść.

MELITTA.

Czemu?

RAMNES.

Musisz iść ze mną.

MELITTA.

Gdzie?

RAMNES.

Do... Ale pójdz tylko do brzegu, dowiesz się.

MELITTA.

Bogowie! Co to ma znaczyć?

RAMNES.

Pójdz, lube dziecię, północ wnet minie, czas nagli, pospieszmy.

MELITTA.

Cóż to jest? Mam się oddalić na odległe brzegi?

RAMNES.

Bądź spokojną! Albo to Chios tak daleko?

MELITTA.

Tam? — Nigdy!

RAMNES.

Musisz — tak każe pani twoja.

MELITTA.

Safo?

RAMNES.

Spiesz się, spiesz!

MELITTA.

Nie, pójdę do niej.

RAMNES.

Nie możesz.

MELITTA.

Do nóg upadnę, wysłucha mię przecie.

RAMNES.

Nie możesz, na krok.

MELITTA.

Co? ty, Ramnesie!

RAMNES.

Nie mogę inaczej, pełnię rozkaz mej pani.

MELITTA.

Daj się ubłagać.

RAMNES.

Cóż ci pomoże! Chociaż widzisz łzy w moich oczach, muszę być posłuszny. Spiesz się, dziecko, spiesz.

MELITTA.

Widzisz mię u nóg twoich, miej litość! — A więc nikt mnie nie słyszy, nikt mnie nie obroni?

RAMNES.

Nadaremnie przebudzisz wszystkich. Pójdź za mną.

MELITTA.

Nie, nigdy. Któż się na demną zlituje?

Scenę taką czytający łatwo bez większej uwagi pominie jako mało znaczącą. Ale kto się umie wmyśleć w jakąś sytuację, kto przy każdym słowie równocześnie umie sobie uprzytomnić, jak ono powinno być wygłoszone, jaki wyraz twarzy, jaki gest ma się z niem łączyć, krótko mówiąc: kto nie czyta tylko, ale odczuwa i widzi także, w takim scenie powyższa wzbudzi wielkie zajęcie, dla takiego i następująca, którą tu podajemy, będzie pełna wdzięku i uroku.

Akt drugi. Scena czwarta. Faon z żywym współczuciem słuchał opowieści o losach Melitty, którą jako niewolnicę Safo kupiła.

FAON.

Czy twój los przykry był przy niej?

MELITTA.

O nie — ona była dobrą, otarła mi łzy z oczu, uczyła mnie, wychowała bardzo łagodnie, bo chociaż gwałtowna, ale dobra — prawdziwie dobra jest moja pani.

FAON.

A przecież nie możesz ojczyzny zapomnieć?

MELITTA.

Ach! dość ją wczesnie zapomniałam przy zabawach i pracy. Ale gdym sama, zawsze mi łzy przypominają moją zagrodę, i teraz tak tęskno mi było. Ale już wszystko dobrze. Jestem wesołą.

*Głos (SAFONY) z głębi.*

Melitto!

MELITTA.

Wołają mnie, odchodzę. (*Podnos zaczęty wieniec i kwiaty*)

FAON.

Cóż ty masz?

MELITTA.

Kwiaty.

FAON.

Dla kogo?

MELITTA.

Dla ciebie. Dla ciebie — i dla mej pani.

FAON.

Zostań.

MELITTA.

Wołają mnie.

FAON.

Pokaż mi twoje kwiaty.

MELITTA.

Oto są.

FAON (*wyjmując różę*).

Zatrzymaj tę różę (*zatyka ją za suknię Melitty*). Niech to będzie oznaką, że nietylko w ojczyźnie, ale i wszędzie można znaleźć przyjaciół. (*Melitta ze spuszczonei oczyma, z bijącą piersią stoi nieporuszona. Faon, o kilka kroków się oddalwszy, uważa ją z daleka*).

(*Głos z głębi.*)

Melitta!

MELITTA.

Czy ty mnie wołasz?

FAON.

Ja? ... nie... to w domu.

MELITTA (*zbierając wieńce, które jej upadły*).

Idę już, spieszę.

FAON.

Jakże, Melitto! od ciebie nie zyskam podarku?

MELITTA.

Cóż ci uboga dać mogę?

FAON.

Oto masz kwiaty.

MELITTA (*rzucając kwiaty*).

Jak? Te kwiaty, które niewolnice zbierały, które przeznaczone dla... Nigdy.

FAON.

Jakże więc?

MELITTA (*rozpatrując się po krzewach*).

Wszystko wyzbierane, nigdzie kwiatka nie widać. (*Patrząc na krzew wysoki*). Na tej gałęzi widzę różę, ale wysoko. Nie dosięgnę.

FAON.

Pomogę ci.

MELITTA (*wstępuje na dach*).

Więc nachylę ci gałązki. (*Wyciąga ręce, zniżając gałązkę z różą*.)  
Dostaniesz?

FAON (*nie patrząc na różę, uważa Melittę*).

Jeszcze nie.

MELITTA.

Ale teraz... ah!

FAON.

Trzymam cię. (*Gałązka wymyka się, Melitta pada na ręce Faona.*)

MELITTA.

Ah puść mnie!

FAON (*trzymając*).Melitto! (*Szybko składa pocałunek na jej ustach.*)

Z tych ustępów widzimy jasno, jak głęboką znajomość sceny posiadał Grillparzer, jak pisząc, widział już wszystko przed sobą. Są to sceny, których nie może retoryka i stylistyka nauczyć, ale w które poeta dramatyczny wcielił widzenia swej duszy. Oprócz takich dyalogów w krótkich zdaniach, z których talent i poczucie estetyczne aktorów tworzą sceny porywające życiem i wdziękiem, oprócz poezji w akty, cechującej dramat i autora dramatycznego, nie brak u niego dłuższych monologów i mów, okwieconych najwznioślejszą poezją w słowach i obrazach. Takich zalet poety w ogólności, a poety dramatycznego w szczególności, pełno spotykamy nietylko w „Safonie“, lecz we wszystkich utworach Grillparzera.

Wszystkie charaktery w „Safonie“ — aby dalej snuć wątek na Ramnesie przerwany — rozwijają się naturalnie a dochodzą do jakiej tylko przedmiot taki, jak dar poezji i konflikt jego ze światem, dorósł zdoła. Już to samo, że Grillparzer odważył się opracować taki temat po *Tassie* Goethego, a mimo to zwrócił na się uwagę, przynosi mu niemałą chlębę. Pojął on to starcie poezji z prozą rzeczywistości jeszcze głębiej, niż Goethe. U Tassa obrażona świadomość własnej wartości i zakochanie się w osobie wyższego stanu odgrywają główną rolę, a skutek, jaki Goethe każe im wyrzucić na Tassa, mogły one wyrzucić tylko na poetę o takim właśnie usposobieniu indywidualnym; Tasso chwytając rzeczywistość i tym samym klęskę swą wyznaje. Safo kocha, ponieważ jej duchowa i fizyczna istota zdaje się być kochaną, a przekonawszy się, że obie nie zdołały trwale przywiązać olśnionego jedynie chwilowo jej geniuszem młodzieńca, rozstaje się z tym światem, aby znów stać się nierozdzieloną bogów własnością.

Błąd jest zarzut (analogicznie i innym dziełom czyniony), jakoby „Safona“ była niezgodną z charakterem starożytnym. Grill-

parzer przyjął przekazany ze starożytności fakt samobójstwa nie-szczęśliwej w miłości poetki, a wynalazł tylko szczegóły fakt ten motywujące, szczegóły, które może są obce starogreckiemu duchowi, ale nie sprzeciwiają się ogólnym prawom psychologicznym.

Nie pisał on też historycznego dramatu, któryby miał nam odtworzyć helleńskie życie i helleńskie pojęcia z dziejopisarską wiernością, lecz pragnął jedynie dać poetyczne rozwiązanie ciekawego zagadnienia psychologicznego dla świata nowożytnego, dla widzów i słuchaczy dzisiejszych <sup>1)</sup>.

Mimo to wszystko nie możemy powiedzieć jakoby „Safo“ była arcydziełem bez wszelkiego zarzutu. Słabą jej stroną jest charakter Faona, który niższy o całe niebo od Safony, nie pojmuje co się odbywa w duszy tej kobiety, przewyższającej umysłem i sercem zwyczajnych ludzi. Trudno nam nawet zrozumieć, jak Safona mogła zapłonąć tak głęboką miłością ku takiemu jak on mężczyźnie. W ogóle można zarzucić Grillparzerowi, że o ile szczęśliwym był w tworzeniu charakterów kobiecych, o ile postacie jego niewieście odznaczają się naturalnością, prawdą i ujmującym wdziękiem, o tyle przeciwnie nie szczęściło mu się z mężczyznami, którym brakuje często w jego dramatach energii i godności prawdziwie męskiej. Jestto zresztą zarzut, który można zrobić równie słusznie i Goethemu. —

Ukończywszy, jak wyżej wspomnieliśmy, w ciągu trzech tygodni „Safonę“, oddał ją Grillparzer Schreyvoglowi. Miano ją natychmiast przedstawiać. Ale nie wiodło się jakoś, gdyż zamiast sławnej Schröderowej, która skutkiem jednej z częstych swych wojen z dyrekcją opuściła była Wiedeń, późniejsza aktorka rolę tytułową objąć miała. Na szczęście powróciła owa gwiazda teatralna na horyzont wiedeński, i obawa poety, aby główna rola nie utraciła na słabem odtworzeniu przez niedoroślą do takiego zadania artystkę, została usunięta. Ale zaledwie załatwiono tę sprawę, zaniepokoiła go znowu rola Melitty.

„Naiwna“, pani Korn, która dotychczas tylko w konwersacyjnych komediach występowała, grała Melittę. Poeta obecny na próbie generalnej, dreszczem się przejął na widok jej gry manierowanej, nienaturalnej, wprost niemożliwej. Nagle p. Korn przychodzi do poety i pyta się, czy on tak Melittę pojął. Grillparzer odpowiada z całą szczerością, że nie. Na dalsze zapytanie, jak więc grać ma, Grillparzer radzi grać zupełnie tak, jak dotychczas wszystkie

<sup>1)</sup> Wywody powyższe według Goedekego.

role swoje oddawała. Zdziwiona tą radą artystka wyznaje, że dlatego stała się tak nienaturalną, bo mąż jej i Schröderowa wmówili w nią, że w greckiej tragedji podniesione być musi wszystko do pewnego patosu. Na szczęście nie było to rzeczą niepodobną dla p. Korn zmienić wystudyowanej już roli, bo potrzebowała tylko zastąpić wyuczony, sztuczny patos, właściwą sobie, naturalną naiwnością. Jakoż udało jej się to nadspodziewanie szczęśliwie.

Pierwsze przedstawienie „Safony“ w „Burgu“ d. 21 kwiet. 1818 r., wypadło świetnie. P. Korn jako „Melitta“ rozwinęła niezrównany wdzięk, a p. Schröder tak znakomicie pojęła i oddała „Safonę“, że obecny podówczas w Wiedniu poeta szwedzki, Atterbom, zachwycony jej grą, pisze w swoich pamiętnikach: „Schröderowa to żywa Safona, wskrzeszona Safona starożytności... Nigdy nie słyszałem wierszy deklamowanych tak melodyjnie, z takim poczuciem rytmu, z tak subtelnem cieniowaniem każdej myśli“.

Toż gdy pierwsza sztuka Grillparzera znalazła była w śród krytyków i literatów wiedeńskich z zawodu wielu przeciwników, a to zajadłych i niesprawiedliwych w najwyższym stopniu, to przeciwnie ten drugi jego utwór sceniczny wywołał powszechny entuzjazm.

Ówczesne dziennikarstwo wiedeńskie kneblowane cenzurą najokropniejszą, karmiło czytelników swych plotkami i skandalikami. Wolność na wszystkich innych polach krępowana puszczała sobie wodze tem swobodniej w napaściach na dzieła literackie i ich autorów. To też wstrętem przejmują te intrygi i obelgi, widoczne w omówieniach „Matki rodu“ w artykułach społecznej prasy wiedeńskiej.

Tem bardziej uderza entuzyastyczne przyjęcie „Safony“. Tłumaczą je rozmaite okoliczności. Zapał ogólny u widzów, drugi już występ poety z nowem wielkiem dziełem po tak krótkiej pauzie, zupełnie inny charakter tego dzieła, nareszcie — haniebne runięcie Hebenstreita z autokratycznego tronu literackiej krytyki. Przewrotność i kabały tego najzjadliwszego z literatów wiedeńskich, o czem zestawienie pewnej jego krytyki z listem jego przez obrażonego kolegę wydrukowanym, wymownie świadczyło, zabiły go w opinii publicznej Wiednia. Groźny ten przykład powściągnął bez wątpienia i innych braci zoilów.

Oprócz rozmaitych pisemek i piśmideł wychodziły wprawdzie w Wiedniu także *Wiener Jahrbücher*, organ literacki na większą



skąłę założony, zostający pod protekcją rządu, czyli ks. Metternicha. Ale kierowali nim Gentz i Fryderyk Schlegel, należący do obozu romantyków, a przy tem ludzie bez charakteru, między którymi a Grillparzerem żadnych nie było punktów styecznych. Zresztą taki Gentz, który posiadał orderzy wszystkich monarchów europejskich, który miliony na życie swoje sybaryckie wydawał, któremu wszyscy jak najniżej się kłaniali — za cóż mógł on mieć biednego conceptowego praktykanta, który przy tem w dziełach swych zawsze do tradycyi klasyków odważał się odwoływać i nie bił pokłonów przed bożyszczami romantycznymi!

Otóż *Wiener Jahrbücher*, organ, który przedewszystkiem austriackie sprawy powinien był uwzględniać, o austriackim poecie, Grillparzerze, którym zajmowały się już wszystkie czasopisma Niemiec, a nawet i zagraniczne, zachowywał głębokie milczenie. Pierwszy raz wspominają roczniki o nim dopiero w r. 1826, ale to tylko mimochodem, aby w jego utworach wykazać całą litanię grzechów estetycznych. Dopiero w r. 1829, kiedy już inne ręce kierowały tem wydawnictwem, mógł poeta Zedlitz, nie powodując się dziwacznymi względami, omówić działalność pierwszego z poetów austriackich, w pierwszorzędnem piśmie austriackiem, które go tak długi czas z umysłu ignorowało.

Krytyka w Niemczech wtedy dosyć jeszcze sprzyjała Grillparzerowi, chociaż rozmaite okoliczności sądy jej wypaczały. I tak wypaczał te sądy kierunek romantyków, którzy swego ideału u Grillparzera daremnie szukali; wypaczała je dalej dziwna pretensya estetyków teoretycznych, dopiekająca już wtedy i przez całe życie Grillparzerowi, którzy fałszywie pojawiawszy kilka zdań Kanta, utworzyli sobie jakąś estetykę *a priori*, co ich zdaniem nie tylko krytykiem, ale nawet poetą przy samem tworzeniu kierować i temuż pomocą być miała; wypaczały je klikowe intrygi i konuszachty, zazdrość słabszych talentów, od wieków napadające na wszystko, co wyższe i samoistne.

Teraz po „Safonie“ sypały się krytyki, jak z rogu obfitości. Przy tem wspomniano wszędzie na nowo *Matkę rodu*, i wszystkie czasopisma odrzmięwały chlubą albo naganą dla nowego poety. Nie ukrywając bowiem dzieła swego w manuskrypcie, uprzystępnił je był dla wszystkich, ogłaszając drukiem u tego samego nakładcy, który poprzednio wydał już pierwszą jego pracę. O austriackim patriotyzmie Grillparzera świadczy bardzo chlubnie ta okoliczność iż — mimo świetnych po kilkakroć powtarzanych ofert niemieckich — z zasady wszystkie dzieła swoje w Wiedniu

u Wallishausera drukował. Firma ta nie szczególnie dbała o ich odbyt, a austriacki poeta, którego na pułkach nakładców lipskich i berlińskich nie widziano, którego tacy Brockhausowie publiczności niemieckiej nie przypominali, zniknął z wolna dla późniejszego pokolenia na jakiejś mglistej *ultima Thule*.

*Safo* wyszła w Wiedniu po raz pierwszy w r. 1819, a w tym samym roku już w drugiej edycji. Grano ją na wszystkich teatrach niemieckich niemal równocześnie, a tłumaczono na wszystkie prawie języki europejskie — angielskich tłumaczeń istnieje nawet kilka.

Polskim przekładem *Safony* zajął się Kazimierz Brodziński. Przekład ten prozą, z pośpiechem dla potrzeby sceny wykonany, z musu prawie poskrócony, gdyż najwyższy polot poezji raziłby niejednokrotnie w prozie — w ogóle zaś dosyć wierny, ogłoszono dopiero po raz pierwszy z odszukanego manuskryptu w drugim tomie *Pism Kazimierza Brodzińskiego* (Poznań 1872). Tam znajduje się także inny przekład, rymowanym wierszem dokonany, ale tylko pierwszego aktu tej samej tragedii, przedrukowany z *Pamiętnika Warszawskiego* (Nr. 5, rocznik 1821), bez wątpienia również pióra Kazimierza Brodzińskiego. Tłumaczenie to jest bardzo piękne i żałować tylko wypada, że autor *Wiesława* nie mógł wzbogacić naszego piśmiennictwa, w dobre tłumaczenia wcale nie obfitującego, wzorowym przekładem całej tej tragedii; nadto jakieś fatum zrządziło, że drugi akt, który według zapewnienia Dmochowskiego był już ukończony, zaginął.

Z tego przekładu, ze względu na to, iż nietylko żadnego lepiej, ale w ogóle żadnego zgoła z Grillparzera późniejszych dzieł nie tłumaczono u nas, pozwalamy sobie przytoczyć tu wyjątek, jako próbę poezji tego autora (poprawiając jednak interpunkcję, która tak w przekładzie prozą, jak i w przekładzie rymowym w „Pismach“ w wysokim stopniu zaniedbana, zrozumieniu często wprost na przeszkodzie stoi). Podajemy scenę trzecią aktu pierwszego, kiedy Safo, przyjęta głośnymi oznakami czci i miłości swych współziomków, po oddaleniu się wszystkich pozostaje sama z Faonem:

#### SAFO.

Tak tu żyje twa Safo, poznasz jej szczęśliwość.  
Dzięki za dobrodziejstwa, za miłość, życzliwość,  
Tak jej się zawsze wiodło w tej życia przemianie,  
Na tem zawsze przestałam. — W szczęsnym będę stanie

Gdy i ty, choć w połowie oddasz, co ci daję,  
 Jeśli ci ta zamiana wielką się nie zdaje.  
 Nauczyłam się tracić, być mężną w żalobie:  
 W młodych latach rodziców opłakałam w grobie;  
 Najbliżsi rodu mego, gdy nie jedną ranę  
 Zadali w serce siostry do nich przywiązane,  
 Częścią losu igrzyskiem, częścią z własnej winy,  
 Ponieśli wiek kwitnący w Erebu krainy.  
 Wiem, jak dręczy niewdzięczność, jak obłuda zrania,  
 Znam ja chytrą przyjaźni, niestałość kochania,  
 Nauczyłam się tracić, tłumić nawet chęci;  
 Ale to, co nie zniknie w sercu i pamięci,  
 Twoją miłość utracić, siły bym nie miała. —  
 Przeto poznaj się. Nie znasz, co w tych piersiach pała —  
 Niech nie czuję, niech kiedyś z żalu nie umieram,  
 Że pełne dałam serce, a próżne odbieram.

FAON.

Pani!

SAFO

Czyliż słodsze nie masz w sercu słowa?

FAON.

Czyliż uczuciom moim starzyć może mowa! —  
 Z niskiego ojców stanu, stojący u celu,  
 Do którego możniejszych dążyło tak wielu,  
 Ginę w tym zbyt ku szczęścia. — Widzę jak z daleka  
 Las, brzegi, niskie chaty i góra ucieka,  
 A gdy to wszystko stoi, nie pomnę zdumiała,  
 Że mnie tylko jednego niosą szczęścia wały.

SAFO.

Słodko pochlebiasz, ale pochlebiasz, Faonie!

FAON.

Tyżes to jest istotnie, teźże ściskam dłonie?  
 Którą od wysp Pelopsa aż tam, gdzie daleki  
 Trak się łączy górami z swobodnymi Greki,  
 Wszędzie kędy odległe od ludów i krajów  
 Kronion wywiódł wyspy nad morze Dunajów,  
 Tam gdzie brzegi azyjskie jasny Feb ogrzewa,  
 Gdzie boską mową grecki lud po grecku śpiewa,  
 Którą wszystko pod słońcem wielbić się jednocy!  
 Jeżeli ty to jesteś — jakże twoje oczy  
 Zniżyłaś na młodziana, który bez znaczenia,  
 Bez sławy własnych czynów, bez przodków imienia,

Nie ma innej zalety, jak tej lutni stróna,  
Którą wielbią, że twoją ręką jest dotknięta?

SAFO.

Zle strojna, kiedy własnej pani brzęczy chwałę.

FAON.

Ach! w owych jeszcze czasach, gdy ręce nieśmiałe  
Głos trwożliwy z niepewnej wywabiły stróny,  
Twój obraz stał przedemną: kiedy otoczony  
Gronem rodzinnem żyłem na ojców siedlisku,  
Gdy Teana, ma siostra, przy ognia połysku  
Czarne zwinki przyniosła, by czytać twe pienie.  
Jakże głośnych młodzianów ujęło mileczenie,  
Jak się wtedy od robót dziewice skupiły,  
Aby żadnego ziarnka złota nie straciły!  
A gdy czytać zaczęła o pięknym młodzianie,  
O żalach na samotne noce przeczuwanie,  
O bogini miłości, o grach Andromedy,  
O zabawach Atysa — O jakże to wtedy  
Każdy czuwał milezący, skarżył swoje tehnienia,  
Że uczuciem wzmocnione piersi podnoszenia  
Za głośno przeszkadzały. A wtedy Teana,  
Na poręczy swojego krzesła zadumana,  
Patrząc się w ciemną izbę: Jak też (rzecze) ona  
Przed oczyma mojemu stoi ubóstwiona!  
Zda mi się, że ją widzę — gdyby nawet stała  
W gronie tysiąca niewiast, jabym ją poznała. —  
Wnet każdy niecierpliwy zdjął ustom okowy,  
Udręczał wyobraźnię, ażeby wdzięk nowy  
Twojej nadał postaci. Ten Pallady oczy,  
Ten knidejskiej bogini przyznał pas uroczy. —  
Ja sam tylko milezący, zasmucony wstaję,  
W samotnej świętej nocy idę ciche kraje;  
Tam zabłąkany ręce wyciągam do ciebie.  
Gdy światło z wozem Luny krążące po niebie,  
Gdy głośne wiatrów tehnienia, gór i dolin wonie,  
I rosa razem moje opłynęły skronie,  
Wtenczas byłaś ty moją, stałaś przy mym boku,  
Obraz Safony krążył na jasnym obłoku.

SAFO.

Ach! ty mię tylko własnem bogactwem odzialesz,  
Biada mi! gdybyś kiedy odebrał, co dałeś.

FAON.

Do igrzysk olimpijskich od ojca wysłany,  
Kiedy po drodze słyszę rozgłos powtarzany,

Ze tam lutnia Satony o wieniec za pienia  
 Będzie walczyć, zwyciężać — jakże bez wytchnienia  
 Uteśkniony pędziłem! Konie popadały,  
 Zaczem wież olimpijskich me oczy dojrzały.  
 Przybyłem — ani wozów warczących gonitwy,  
 Ni krągów gra wesola, ni szermierzów bitwy  
 Nie zwabiły mych oczu. Zwycięstw nie patrzałem,  
 Choć jedno z najświetniejszych moim było działem.  
 Ją bowiem chciałem widzieć, ją, niewiast koronę.  
 Nareszcie dni nadeszły pieśniom naznaczone:  
 Próżno nucą Alejeje i Anakreony.  
 Nagle gwar powstał, lud się dzieli rozkupiony.  
 W tem przez tłumy zdumione, z złotą lutnią w rękę  
 Postępuje niewiasta. Z ramion pełnych wdzięku  
 Oznaka niewinności, szata śnieżno-biała,  
 Na zabronione światłu członki upływała.  
 Strumień to był, co wzgórki przepływał majowe;  
 Brzegi w laury ozdobne i liście laurowe,  
 Mir z sławą oznaczając, piękną myśl wywodzą,  
 Że ich pragnie poeta, one go nagrodzą.  
 Jak słońce otaczają różane obłoki,  
 Tak onę płaszcz purpury opłynął szeroki,  
 A z nocą czarnych włosów korona wspaniała,  
 Jak księżyc, znak dalekiej władzy rozświecała;  
 Wtenczas, że ty to byłaś, serce mi mówiło.  
 Wnet ludu uniesienie mój domysł stwierdziło.  
 Jako potem śpiewałaś, jak wieńcem zdobiona,  
 Z rąk lutnię opuściłaś wstydem zrumieniona:  
 Jako potem traiony twych oczu postrzałem,  
 Zawstydzony młodziemiec i bez duszy stałem —  
 To wiesz lepiej: ja dotąd nie zgaduję prawie,  
 Co z tego we śnie tylko, co było na jawie.

## SAFO.

Wiem, jak skromny, milczący stałeś przy mym boku,  
 Jak całe życie w twojem tkwić się zdało oku,  
 Które, chociaż od ziemi wzniesione nieśmiało,  
 Przecież iskrę z akrytych płomieni zdradzało.

## FAON.

Któżby sądził, że pierwsza z greckiego imienia  
 Na ostatniego z Greków obróci spojrzienia!

## SAFO.

Nie krzywdź siebie i losów! Szanuj bogów dary,  
 Które narodzonemu z przepełnionej czary  
 Na czoło i na usta i na serce leją,  
 By pełne życie niosło tą ziemską koleją.

Piękny dar piękność ciała! Śmiałość i odwaga  
 Zdobi tę podróż życia i losy przemaga,  
 Ale życia najwyższym celem jest użycie. —  
 Nie próżno zimnym laurem, Muzy, się wieńczycie!  
 Bez owoców, bez woni, ciśnie skroń człowieka,  
 I nagrodę za wiele ofiar mu przyrzeka.  
 Tęskno jest być na szczycie, wciąż uboga sztuka

*(wyciągając ręce do Faona.)*

Żebrząc a pełni życia pocieszenia szuka.

FAON.

Kiedy ty mówisz, pani, któż nie wierzyć zdoła!

SAFO.

Więc oba niechaj wieńce zdobią nasze czoła;  
 Sztuka z życiem wzajemną niech się czarą poją!  
 Na tych wzgórkach, w tych grotach, które róże stroją,  
 Tu bogom równe szczęście niechaj z nami gości,  
 Którzy ani pragnienia ni znają sytości,  
 Lecz wiecznego użycia równe chwile pędzą,  
 Z losami się nie kłócą i czasu nie szcędzą.  
 Twojem jest wszystko moje. Przez ciebie użyte  
 Dopiero mię ucieszą dziedzictwa obfite.  
 Patrz w koło! oto własność twej woli oddana.  
 Niechaj cię sługom moim pokażę za pana,  
 Mój przykład ich nauczy, jak ci mają służyć.  
 Dziewice! niewolnicy!

FAON.

Któż sobie śmiał wróżyć

Los mojemu podobny!

---

#### IV.

(Stosunki materyalne. Hr. Stadion. Choroba. Gastein. Śmierć matki. Podróż do Włoch. Przykre następstwa. „Ruiny Campo vaccino“. Trylogia: „Złote runo“. Styl Grillparzera.)

Myśl poety buja po niezmierzonej przestrzeni duchowego świata. Ale życie przykuwa go do ziemi, stawia go na równi z innymi śmiertelnikami, zmusza go do podejmowania walki o swój byt, o stanowisko, o chleb powszedni.

Nasz Grillparzer chwycił się był karyery urzędniczej, nie z zamiłowania, ale względami na swoje i swoich utrzymywanie powodowany. Te same względy przekonały go, iż najlepiej pójść za poradą hr. Hebenstreita: opuścić służbę biblioteczną z małymi jej widokami, a przenieść się do komory skarbowej. Tu zajmował się tedy poeta wymierzaniem podatków, przestępstwami należytościowemi i t. d., a nareszcie przydzielono mu indagacyę przemytnictwa i mniejszych przestępstw skarbowych.

Dochód z dwóch pierwszych dzieł nie bardzo polepszył położenia materyalnego autora. Były to zupełnie odmienne od dzisiejszych stosunki. Tak n. p, za *Safonę*, którą w Niemczech wszędzie przed pełnym amfiteatrem dawano, żadna scena nie zapłaciła autorowi, tylko pewien królewski nadworny teatr dał trzy dukaty.

Na szczęście znalazł Grillparzer szlachetnego mecenasa w osobie ministra skarbu, hrabiego Stadion a. Mąż ten nadzwyczajnie światły i ze wszech miar znakomity, w poczuciu zobowiązań, jakie sława poetyczna genialnego ducha na ojczyznę jego nakłada, — jako przełożony wiedeńskich teatrów nadwornych nakłonił dyrekeyę *Burgu* do zawarcia kontraktu z Grillparzerem, który tytułem poety teatralnego pobierać miał rocznie

2000 zł. w papierze póty, póki w hierarchii urzędniczej wyższej rangi nie uzyska. Sam zaś autor nie zobowiązał się do niczego więcej, jak tylko, że każde dzieło swoje najpierw teatrowi nadwornemu przedłoży.

Aby zaś poecie urzędowanie znośniejszem uczynić, przeniósł go Stadion do bióra w którym teatralne sprawy załatwiano. Niezależnie jednak chciał, że Grillparzer dostał tam jak najgorszego szefa, człowieka przebiegłego i zawistnego, który usiłował Grillparzerowi wszelkimi środkami szkodzić, przedstawiając go jako próżniaka i pasożyta, chociaż w rzeczywistości był zawsze urzędnikiem gorliwym i sumiennym.

Kłopoty tego rodzaju, dysonanse między życiem a poezją, przekonanie iż kierunek talentu jego jest wprost przeciwny panującemu prądom, tak ideologicznemu jak i romantycznemu, działały nadzwyczaj niekorzystnie na zdrowie Grillparzera. Pobyt wiejski w Badenie pod Wiedniem nie zaradził złemu, dopiero podróż do Gastein, na którą namówił Grillparzera Władysław Pyrker (późniejszy arcybiskup i słynny jako epik dziełami: *Rudolfias*, *Tunisiás* i i.), przywróciła mu zdrowie i jak sam utrzymywał, życie mu ocaliła. Tam to napisał on słynny wiersz *Abschied von Gastein*, który stał się niemal klasycznym wyrazem losu poety na ziemi.

Zaledwie powrócił i zabrał się do pracy nad nowym, ogromnego zakroju utworem gdy niespodziewane nieszczęście zraniło znowu jego tkliwe serce. Matka jego, której zdrowie coraz się pogorszało, zaniemogła nakoniec obłożnie i popadała w obłąkanie, przerwane jasnymi chwilami. Syn sprowadził odpowiednią służbę i pielęgnował matkę jak mógł najlepiej, a lekarze oświadczyli, iż taki stan chorej bardzo długo potrwać może, bo niebezpieczeństwa śmierci nie ma.

Pewnej nocy już ku świtowi budzą Grillparzera. Spieszy do pokoju matki i widzi ją na pół ubraną, w łóżku stojącą. Pyta, ona nie odpowiada, jej rysy martwe i skostniałe. Widocznie przyszła jej była myśl wstawania. Na pół ubraną uderzyła apopleksya, a opierając się plecami o ścianę a nogami o stół przed łóżkiem, strętwiała w stojącej postaci. Widok straszny, przerażający! Pomocy już nie było.

Zgroza tej śmierci, która poetę zupełnie usamotniła, w najokropniejszy sposób naruszyła jego słabe zdrowie. Lekarze radzili natychmiast Wiedeń opuścić. Ale dokąd? W marcu jeszcze za wcześnie na wieś — a do Włoch, pominąwszy nadzwyczajne



trudności łączące się wówczas z podróżą za granicę dla urzędnika, nie pozwalała kasa poety na opłacanie *extrapoczty*, na inny zaś wehikuł nie pozwalało jego zdrowie. W tem zaszły nadzwyczajne okoliczności, które dopomogły biednemu Grillparzerowi.

Właśnie wtedy udał się był cesarz Franciszek wraz z czwartą małżonką swoją, Karoliną Augustą, i wielkim dworem w podróż do Włoch, mianowicie do Rzymu i Neapolu. Niejaki hr. Deym, podkomorzy cesarski, chcąc ofiarować tam usługi swoje cesarzowi, postanowił pospieszyć za dworem i szukał towarzysza na połowę kosztów. Minister hr. Stadion na własną odpowiedzialność zezwolił na podróż Grillparzerowi (na którą właściwie sam cesarz miał zezwalać, ale jego już nie było) i uszczęśliwiony poeta pospieszył z hr. Deymem ku południowi. Nie dano jednak — a jest to także znamieniem epoki — Grillparzerowi paszportu: dyrekeya policyi każdego miasta odsyłała go w tej mierze do dyrekeyi dalszej, aż nareszcie w Wenecyi otrzymał upragniony paszport, którego brak byłby udaremnił całą podróż do granicy. W ogóle gubernator Wenecyi, hr. Goes, był w najwyższym stopniu uprzejmy dla podróżnych, pragnął nawet Grillparzera zaznajomić z Byronem, lwem weneckiego towarzystwa, ale czasu już nie stało, gdyż Deym chciał co prędzej przybyć do Rzymu.

Pobył we Włoszech nie mógł nie wyrzucić na Grillparzerze wrażenia, jakiego wszyscy doznają, choć mniej wykształceni, mniej poetyczni i genialni. Jak gorąco wszystkim się zajął, jak gorliwie szukał za pamiątkami starożytności, jak pilnie zwiedzał zbiory i pracownie, o tem świadczą wymownie, oprócz wzmianek w autobiografii, karty pamiętnikowe zatytułowane: *Reise-Erinnerungen an Rom und Neapel*.

Ale rzymskie powietrze nie służyło mu. Dla braku regularnego trybu życia niepodobnego w podróży, zdrowie jego było ciągle nienajlepsze, a stan jego pogarszały jeszcze miejscowe warunki, do których Grillparzer nie był przywykły, i znużenie, jakie sprowadzał ciągły ruch dla oglądania zabytków sztuki i starożytności. Chorował więc, a osławiona włoska umiejętność medyczna nietylko tej chorobie zaradzić nie umiała, lecz owszem jeszcze ją pogarszała.

Hrabia Wurmbrand, wielki ochmistrz cesarzowej, którego znajomość przypadek Grillparzerowi nastęrczył, radził mu Rzym jak najprędzej opuścić — nawet ofiarował mu miejsce w czworokonnej kolasie, która hrabiego do Neapolu zawieść miała, dokąd

się właśnie dwór wybierał. A gdy do Neapolu przybyli, umieścił hrabia Grillparzera u siebie i uwolnił go w taki sposób od kłopotu szukania za pomieszkaniem, i od tego wszystkiego co się z tem łączy; nie mało to znaczyło właśnie wtedy, gdyż skutkiem przyjazdu dworu i niesłychanie licznego zjazdu ciekawych do Neapolu, wynalezienie tam przyzwoitego pokoiku było rzeczą niezmiernie trudną.

Zamieszkanie Grillparzera w apartamentach ochmistrza cesarzowej, wywołało pogłoskę, która wnet do Wiednia dotarła. Nawet po gazetach i leksykonach konwersacyjnych głoszone już, iż Grillparzer otrzymał nominację na sekretarza cesarzowej. Nie podlega prawie wątpliwości, iż hr. Wurmbrand miał szczerą chęć urzeczywistnienia tej pogłoski — ale wszystkie jego w tym względzie aluzye, mianowicie delikatne polecenia, aby poeta starał się tam znajdować, gdzie właśnie tego dnia cesarzowa będzie, którą znajomość jego wielce ucieszy, nie odnosiły skutku. Grillparzer sam przyznaje, iż chociaż wysoko czeił i poważał cesarzową, jako jedną z najznakomitszych i najwykształceńszych niewiast, toć jednak odstraszała go znana surowość jej przekonań religijnych wobec jego religijności, nie stosującej się tak ściśle do form kościelnych. Obawiał się także kępowania swej działalności twórczej względami, do jakich, według jego zdania, stanowisko takie zniewalało. Nareszcie — a bodaj, czy ten punkt już naprzód całej sprawy nie zadecydował — najbliższy krewniak jego zajmował wtedy intratną i wcale nie uciążliwą posadę sekretarza cesarzowej, a wyrugować go z tego stanowiska, to nie zgadzało się wcale z charakterem Grillparzera.

Żyjąc sobie tak wygodnie w Neapolu, w przyjemnem towarzystwie, zwiedzał poeta cudowne okolice, był na szczycie Wezuwiusza i upajał się widokiem niezrównanego morza i nieba. Przebywał on w najdystyngowańszych kołach i nawet wszechwładny książę Metternich zaprosił go na obiad, podczas którego książę z pamięci wyrecytował głośną podówczas, a tak srogą panującemu systemowi, nowość, mianowicie czwartą pieśń *Child Harolda*.

Wszystko tak pięknie i pomyślnie się składało, że jasne przeźrocze nieba hesperyjskiego zdawało się również i nad życiem Grillparzera rozpóścierać. Któż byłby wtedy mógł przepowiedzieć, że już w najbliższym czasie czarne chmury zakryją błękit i gromy uderzą w skroń niewinnego poety !..

Nieszczęście zaczęło się w Neapolu. Dwór już miał wracać: w tem hr. Wurmbrand, przy zwiedzaniu okrętu w porcie, spada przez nieuwagę z pokładu do wnętrza. Ciężko uszkodzony, z Neapolu wyruszyć nie może. Prosi Grillparzera, aby chorego nie opuścił; pierwszy podkomorzy przynosi wiadomość, iż cesarz zezwolił na pozostanie poety przy złożonym chorobą hrabi, o czem równocześnie dla przedłużenia urlopu kamerę zawiadomiono.

Na takie zapewnienie pozostał Grillparzer w Neapolu. Kuracya hrabiego szła bardzo powolnie, gdyż lekarz sztabowy, z Medyolanu powołany, zadał kłam dyagnozie Włochów i uznał uszkodzenie za cięższe, niż oni myśleli. Gdy mu się o tyle polepszyło, że mógł opuścić Neapol, zatrzymał się hrabia jeszcze w Rzymie, i dopiero razem z dworem do Wiednia powrócili.

W nieobecności Grillparzera obsadzono tymczasem opróżnioną posadę rzeczywistego koneypisty. Tłómaczono się pogłoską o godności sekretarskiej, którą miał otrzymać. Także dwa dalsze wakanse minęły poetę. Wprawdzie minister hr. Stadion proponował każdą razą kamerze Grillparzera, ale kamera, pragnąc dowieść swej autonomii, którą z powodu częstych zatargów między ministerstwem i nią minister przyznał był kamerze, uporeczywie mianowała innego. Poeta nosił się już z myślą opuszczenia raz na zawsze służby państwowej i tylko na usilne przedstawienia hr. Stadiona, że śród ówczesnych stosunków, zawód literata w wyniosły sposób pojęty niemożliwy jest w Austrii, dał się nakłonić do pozostania. Przy tem otrzymał od ministra nieograniczony urlop aż do ukończenia ogromnej pracy nad *Złotem runem*, którą rozpoczął był jeszcze przed zgonem matki, ale w połowie przerwał.

Również miał wtedy Grillparzer niemiłe zajście z powodu wydrukowania wiersza, napisanego podczas podróży, chociaż go cenzura przepuściła. A wiecież jaka to była ta cenzura owych czasów! Na charakterystykę przytoczymy, że n. p. w dramatach, lekkomyślnych oficerów zamieniała na cywilne osoby, zbrodniarzy hrabiów degradowała na baronów, a według okoliczności nawet na prostych szlachciców; że Franciszek Moor i Ferdynand Walter (w tragedyi Schillera: *Intryga i Miłość*) z synów stawali się synowcami swych ojców, że księżęta panujący zawsze na końcu musieli mieć słusność i t. d. A kiedy w operetce: *Wywrócone kolaski* jeden z podróżnych powiedział: „Padaliśmy jeden na drugiego jak worki z wełną“, komisarz na próbie obecny dopatrył się w tem obrazy dla szlachty, która także wełną handluje...

Otóż, aby podobnemi niedorzecznemi szykanami nie zmierzić autorom wszelkiej chęci tworzenia, piastował Schreyvogel urząd cenzora na książki. Jego cenzura przepuściła wiersz Grillparzera: *Ruiny Campo vaccino* w roczniku *Aglaja* na r. 1822. Wiersz ten, porównywając starożytność z terażniejszością, wyraża tę samą ideę, co *Bogowie Grecyi* Schillera: mianowicie żal za minioną przeszłością. A ten sam niedorzeczny zarzut wystąpienia przeciw chrześcijaństwu, jakim Schillera niegdyś fanatyk Stolberg obdarzył, dostał się teraz w udziale Grillparzerowi.

Co! On, urzędnik, dramatyk nadworny — on, który w otoczeniu dworu we Włoszech przebywał.. waży się teraz występować jako heretyk, jakobin, liberał.. Sodoma i Gomora! Gradem sypały się zarzuty na biednego. Niedosyć, że ze wszystkich egzemplarzy jego wiersz wycięto, ale Sedlnitzky, dyrektor wiedeńskiej policji, cytował go przed siebie — ks. Metternich, który *Child Harolda* na pamięć umiał, zawierającego przecież inne całkiem rzeczy, nie takie fraszki niewinne, rozwinął całą energię urzędową: *caveant consules!*..

Potulny Grillparzer usprawiedliwiał się jak mógł. Najłatwiej było zwać wszelką winę na cenzurę, która rzecz przepuściła. Ale ztąd wynikłby kłopot dla przyjaciela, Schreyvogla — Grillparzer więc sam, pisemnie, jak mu nakazano, usprawiedliwiał wiersz i siebie: ale co czuł, łatwo to pojąć. Śród takich stosunków pracować i dążyć naprzód, równało się męczeństwu; kto dzieło jakie rozpoczął, musiał się obawiać losu Sisyfowego. Bo któż mógł przewidzieć, czy, gdy dojdzie do wyżyny, do ukończenia, nieodgadniona cenzura nie strąci go w przepaść..

Grillparzer nie poszedł jak tylu innych, za granicę, aby z bezpiecznego zakątka miotać obelgi i rzucać kłutwę na macierz swoje, aby odgrywać bohaterską, a często nieźle popłacającą rolę męczennika: on wytrwał, bo kochał szczerze i gorąco swój kraj, swój naród, swoją dynastję, choć ojczyzna niewdzięcznością mu płaciła. A odtąd, mimo usprawiedliwiania się, pozostała mu zawsze *mala nota*; przy każdej prośbie, przy każdym widoku awansu, wrogowie jego, małoduszne krety, regularnie ćwierkali mu w oczy fatalnem zdaniem: „Dobrze, dobrze — żeby tylko nie był miał owej awantury z policją“.

Śród tak przykrych wrażeń dojrzewało w genialnym umyśle poety jedno z największych dzieł jego Muzy. Pierwsza to po Schillera *Wallensteinie* trylogia w literaturze niemieckiej — a właściwie pierwsza w ogóle. Schiller bowiem widząc, iż dramat

jego nie da się przedstawić w ciągu jednego wieczora, rozdzielił dzieło, będące już na ukończeniu, na dwie części, a ze scen obozowych utworzył osobną całość: *Obóz Wallensteina*. *Obóz Wallensteina* jest tylko obrazem dramatycznym, *Pikkolominiowie* nie są dramatem, *Śmierci Wallensteina* brak właściwej ekspozycji, gdy ją od *Pikkolominich* oderwiemy. Nie jest tedy *Wallenstein* właściwą trylogią, która wymaga pewnej zaokrąglonej całości w każdym ze swych działów.

Grillparzera trylogia *Złote runo*, daje nam istotnie trzy dramata, które jednak z wyższego punktu widzenia, wydają się aktami dramatu wyższej kategorii; jest to więc prawdziwa trylogia. Tak część pierwsza: *Gość*, jak druga: *Argonauci*, jak i trzecia: *Medea*, stanowią każda pewną całość sama dla siebie, a razem wzięte jeden dramat o *Złotem runie*. *Złote runo* bowiem jest, podobnie jak skarb Nibelungów, owym przedmiotem, który wzbudza żądę posiadania, a unieszczęśliwia tego, który je posiadał.

Jeszcze przed pobytem w Gastein, przepędzając lato w Badenie i wertując w książkach, które w pomieszkaniu swem znalazł, wpadł poeta na słownik mitologiczny i na postać Medei. Wkrótce potem powziął myśl napisania dramatu i to dramatu w formie trylogii, choć nie tał przed sobą trudności takiej formy. Pracował też nad utworem, aż śmierć matki i podróż do Włoch pracę przerwała. Nie pamiętał już nawet obmyślanego planu, gdy w tem, uczęszczając po powrocie z Włoch do domu autorki Pichlerowej i grywając z córką jej sonaty, przypomniał sobie, jak niegdyś, gdy te same sonaty grywał z matką, błędził myślami po dalekiej Kolchidzie i widział w wyobraźni swojej *Jazona* i *Medeę*. Tak więc ta sama muzyka przypomniła mu dziwnym sposobem dawne idee, zaczął pracować dalej i nareszcie ukończył swe ogromne dzieło.

*Gościa* i *Argonautów* przedstawiono w Burgu po raz pierwszy d. 26 marca, a *Medeę* d. 27 marca 1821 r. Sukces nie był zbyt świetny. W innych teatrach na trylogię się nie ważono., tylko *Medeę* wznawiały w wielu miastach gościnne występy heroin dramatycznych. Powodem miernego sukcesu pierwszych przedstawień *Złotego runa* była może ta okoliczność, że Schröderowa, starzejąca się już wtedy, wystawiała *Medeę* we wszystkich trzech częściach; kreślono też niemiłosiernie wszelkie wzmianki o piękności i świeżej młodości *Medei*. Później grywała *Medeę* w pier-

wszycy częściach młodsza, a w ostatniej części starsza artystka, i trylogia miała świetne powodzenie.

*Złote runo* jest to kreaeya olbrzymia, bodaj czy nie największe dzieło Grillparzera, a bez wątpienia jedno z największych w piśmiennictwie niemieckiem. Główną postacią jest Medea. Demoniczna córka Ajetesa dla cudzoziemca, który ją przed sobą ostrzega, ofiaruje ojczyznę, ojca, brata. Sama pragnie się wznieść do kobiecej, łagodnej doskonałości — ale daremna walka z przyrodzoną dzikością. Wszyscy od niej stronią, wszystkich przeraża widok jej. Dzieci własne przed nią uciekają, mąż ją nienawidzi i zdradza. A przecież to kochająca żona, kochająca matka, którą krzywdzą, której nie pojmują. Zrywa więc wszystkie węzły dobroci i miłości i z całą elementarną potęgą swej dzikiej natury staje się niszcycielką szczęścia tych, o których miłość daremnie się ubiegała; idzie za popędem niepohamowanego ducha i drażnionego serca i staje się wykonawczynią wyroku wyższej władzy. Wobec tej Medei znikają wszystkie, które poeci starożytnych i nowszych wieków, nawet Eurypides i Corneille stworzyli; z nich żadna nie wzniosła się do tragiczności kreaeyi Grillparzera.

Ale i inne postacie stają godnie obok tej Medei: Jazon, kipiący samowolą i gwałtownością, pochlebca miękki, póki celu nie osiągnął; Kreuza, pełen wdzięku i dobroci anioł; Gora, groźna, surowa Kolchidka; Ajetes, Absyrtus i inni — to nie tylko cienie, w poetyczne słowa obleczone, nie! to osoby żywe, nieraz lapidarnie scharakteryzowane — ale zawsze charaktery, które widzimy oczyma duszy, pojmujemy i współczujemy z nimi nawet tam, gdzie wyrastają ponad zwyczajną miarę sympatyj naszej.

Idea kary za winy znajduje swoje ucieleśnienie w złotem runie, które w zbrodniach uzyskane, sprowadza na krzywdzicieli przekleństwo i niedolę. Przedstawia się ona jasno i dobitnie, a złote runo staje się w taki sposób widomem centrem całej akcyi, czemś nakształt *Nibelungenhortu*, który także właścicieli i przywłaszczycieli swych w nieszczęście pogrąża.

W *Złotem runie* charakterystyczna dykeya i styl Grillparzera dojrzały zupełnie. *Matka rodu* w wielu miejscach, *Safona* już nawet w wysokim stopniu, właściwości poety w tym względzie okazuje. Ale dopiero w *Złotem runie* owo szczególne coś, które stanowi znamię dykeyi i stylu Grillparzera, znajdujemy zupełnie już rozwiniętem. A jestto jędrność wysłowienia i sztuka lapidar-

nego charakteryzowania, w jakiej mało który poeta jemu wyrównał.

Jakaś niepojęta siła i potęga tkwi tam w słowach. Stąd łatwo pojąć jak ogromne trudności przy tłumaczeniu Grillparzera pokonywać trzeba; jest to jakoby walka, z której zupełnie zwycięsko nikt nie wyjdzie; charakter oryginalnej dykeyi zniknie bowiem w obcym języku.

Ale Muzie Grillparzera przypadła także w udziale taka jasność i przeźroczystość, jaką odznaczają się poeci starożytni. Jak napój z cichej, czystej leśnej krynicy pokrzepiają nas jej technienia. Na wszystkich kreacjach Grillparzera błyszczy rosa świeżej młodości zachwycającym czarem, właściwym tylko małej liczbie wybrańców Apollina. To też wraca czytelnik zawsze z przyjemnością do dzieł Grillparzera, i choć nie raz je przeczytał, nie tracą one dla niego siły atrakcyjnej.

---

## V.

(„Króla Ottokara szczęście i koniec“. Dziwne losy. Awans. Stosunki prywatne. Marya Piquot. Kathi Fröhlich. „Ludlam“. Pobudki do nowej podróży.)

---

Ukończywszy *Złote Runo* przeniósł się Grillparzer na zupełnie nowe pole — ze sfery dramatu, na wyobraźni lub podaniach opartego, wstąpił w dziedzinę dramatu historycznego. Natknęła go w tym kierunku spiżowa postać Napoleona, która jak słońce przeciągnęła po widnokregu dziejów, a dopiero pogrążywszy się w otchłań upadku, okazała światu, iż była tylko znikomym meteorem.

Śmierć Napoleona obudziła na nowo wrażenia nieco uspione i przyczyniła się do spotęgowania w całym świecie świeżej jeszcze pamięci olbrzyma. Szczęście i koniec tego potężnego męża mieli wszyscy na ustach, i też pierwotny tytuł historycznego dramatu Grillparzera brzmiał: *Potężnego szczęście i koniec*.

Ale pojmiemy, że nie mógł Grillparzer — jak to współczesny jemu poeta niemiecki, Gr a b b e, w genialnie pojętem, ale niewykończonym dziele: *Napoleon czyli sto dni* uczynił — obrać za przedmiot swego dzieła wielkiego *Korsykanina* i bieżących dziejów. Szukał on więc w odleglejszej przeszłości historycznej za bohaterem pokrewnym i zdawało mu się, iż znalazł takiego w osobie króla Ottokara II, dumnego potomka Przemyślidów, który zabierał pod swoje panowanie kraj po kraju i wyciągał rękę nawet po koronę cesarską, a w końcu pokonany został przez skromnego hrabię z Habsburga. To pełne znaczenia dziejowego zwycięstwo, które dało początek dynastyi habsburgskiej w marchii



Wschodniej, dawało także i gorącemu uczuciu patryotycznemu, przepełniającemu serce poety, pożądaną sposobność do wynurzenia się w formie dramatu historycznego.

Obrawszy przedmiot historyczny, postanowił — chociaż wiedział dobrze, iż nie na tem opiera się wartość dramatu historycznego — jak najwięcej umieścić tam szczegółów historycznych, i w tym zamiarze przedsiębrał obszerne studia źródłowe. Jeszcze w spuściźnie poety znalazło się kilkaset kartek drobnutkiem pismem pokrytych, a zawierających obfite, najdokładniejsze wyciągi z kronik, aktów współczesnych i dzieł historycznych o tych czasach traktujących.

Przygotowawszy się tak należycie, przystąpił Grillparzer do właściwego tworzenia, któremu cały miesiąc poświęcił wyłącznie. Ból gardła umożliwił mu pozostawanie w domu, i wtedy to napisał tragedję, której pierwotny tytuł: *Eines Gewaltigen Glück und Ende* potem zmienił na: *König Ottokars Glück und Ende*.

Ukończone dzieło przeczytał hr. Stadionowi, poczem zaniósł je natychmiast do dyrekeyi „Burgu“.

„Tam je wnet wystudyowano i niebawem przedstawiono“ pomysli zapewne czytelnik. Ale tak właśnie nie było! Poemat urzędnika ministeryalnego, poemat najlepszego patryoty, poemat głoszący cześć założyciela dynastji panującej — leżał w cenzurze dwa lata i może byłby tam zagrzebany, gdyby nie przypadek.

Pewnego dnia cesarzowa Karolina Augusta, gdy zjawił się lektor jej Collin, wyraziła życzenie usłyszenia jakiegoś nowego niegranego jeszcze utworu dramatycznego. Collin udał się natychmiast do dyrekeyi teatru nadwornego, gdzie mu powiedziano, iż oprócz bluetek chyba w przedstawieniu zająć mogących, innego nie ma, i że jedynie dramat Grillparzera nadawałby się, którego jednakowoż z cenzury wydobyć nie można. Cenzura nie odmówiła oczywiście Collinowi rękopisu, gdy wolę cesarzowej objawił.

Collin czytał go cesarzowej, która wyraziła przed wchodzącym właśnie cesarzem najwyższe zdziwienie, jakim sposobem rzecz tak piękną i tak wysoce lojalną wstrzymywać może cenzura. Trzeba było dopiero takiego pomyslnego przypadku, aby dramat *Króla Ottokara szczęście i koniec* ujrzał światło sceniczne.

Nastąpiło to dopiero 19 lutego 1825 r. Tego samego dnia rano pojawiła się edycya drukowana, a księgarnia nakładowa

Wallishausera, formalnie oblegana przez publiczność, sprzedała w dniu tym sześć set egzemplarzy. Niesłychany też był natłok na przedstawieniu: o wpół do czwartej otworzono teatr i za kilka chwil był przepełniony. Dramat zaczął się o godzinie wpół do 7, a skończył się dopiero o wpół do 12. Oklasków było bez końca, a rozentuzyazmowana publiczność po skończeniu przedstawienia przez cały kwadrans wywoływała autora, i uspokoiła się wtedy dopiero i wychodzić zaczęła, gdy reżyser oświadczył, iż go już nie ma (wydawało się bowiem nieodpowiedniem, żeby urzędnik przed publicznością się pokazywał).

Entuzjazm ten podzielała także krytyka z bardzo nieznacznymi wyjątkami. Poza granicami Austrii jednakowoż nie mówiono wcale o tem dziele — wspomniano chyba o Grillparzerze, jako o poecie czystoaustriackim, a że Austria wtedy nie miała miru w Niemczech, mierzano więc i o dziełach Grillparzera, lub wyrażano się o nich z lekceważeniem.

*Króla Ottokara szczęście i koniec* jest to dramat historyczny w całej pełni znaczenia. Głębokie studia historyczne nie przeszkodziły poetycznemu wykonaniu, a rozrzucenie akeyi po rozmaitych miejscowościach i bez ciągłości czasu, forma obca dla autora, który dotąd ściśle zachowywał tradycyjną jedność, nie skrepowała bynajmniej żywej wyobraźni. Znamię prawdziwej genialności okazują szczegóły, które dotworzył do faktów historycznych, celem ściślejzego umotywowania związku akeyi. Idea winy przedstawia się w wyrazistej jasności: z pierwotnej krzywdy rodzi się cały szereg coraz groźniejszych następstw, które w połączeniu z charakterem Ottokara sprowadzają tegoż upadek. Słusznym poniekąd wydaje się tylko zarzut, podnoszony przeciw tej zresztą pod każdym względem znakomitej tragedyi, że Ottokar, główny bohater, jest w istocie za mały w porównaniu z tem, co w ostatnim swym długim monologu o sobie głosi.

Zakończyliśmy nasze opowiadanie o życiu Grillparzera na tem, że minister hr. Stadion udzielił mu był nieograniczony urlop, podczas gdy pracował nad *Złotem runem*. Jakoż gdy ukończył ten utwór, powrócił Grillparzer naturalnie do czynności urzędniczych. Ale ponieważ jak wspominaliśmy już powyżej, bezpośredni szef jego w biurze teatralnem był mu niechętny, ponieważ kamera nadworna żadnej z opróżnionych po kolei posad wyższych jemu nie nadawała, więc dobroczyńca i protektor poety, hr. Stadion, przeniósłszy go z kamery do ministerjum, gdzie zawakowało miejsce, zamianował go koneypistą przydyalnym

obok swojej osoby. Na tem stanowisku było bardzo mało czynności, służba wygodna i ze wszech miar przyjemna, gdyż Stadion wysoko cenił Grillparzera i wzajemny ich stosunek na stopie przyjaznej serdeczności utrzymywał. Nominacya z podwyższeniem pensyi połączona, umożliwiła Grillparzerowi także rozwiązanie kontraktu z teatrem nadwornym, i nie był teraz już krępowany co do przedstawiania dzieł swoich.

Takie było tedy stanowisko urzędowe poety, na którego jako na chlubę piśmiennictwa z dumą cały Wiedeń spoglądał. O pożytku prywatnem Grillparzera mało tylko posiadamy wiadomości. Sam wyznaje, iż temperament i usposobienie jego nie szczególnie go pociągały do towarzystwa. Nie posiadał daru bawienia się i bawienia innych w takim towarzystwie, jakim tak zwane dobre towarzystwo przeciętnie bywa; musiało tam być coś bardziej zajmującego, coś wybitnego i niezwykłego, żeby się poeta mógł czuć swobodnym i w swoim żywiole — inaczej wpadał w rodzaj milczącej senności i ambarasu, wydawał się nieprzytomnym. Bywał też Grillparzer tylko w takich domach, gdzie mógł liczyć na towarzystwo zdolne do zrozumienia wyższych celów żywota, owiane duchem szlachetnych uczuć.

Że poeta nie był nieczuły na wdzięki płci niewieściej, o tem świadczą liczne wiersze jego, wiersze okolicznościami wywołane, nie wymarzone. Ale w autobiografii z bardzo naturalnych motywów szlachetnej delikatności nie rozwodzi się bliżej nad tymi stosunkami — dopiero inni zaczęli je badać i z pewnością wybadają kiedyś niby w imię historii literatury, z taką samą niedorzeczną i niewłaściwą gruntownością, jaką się już na Goethem i na innych popisali, a którą Grillparzer w ostrych epigramatach i aforyzmach schłostał niemiłosiernie <sup>1)</sup>.

Wyjątek co do zwierzeń tego rodzaju uczynił poeta tylko z jednym bardzo ciekawym wypadkiem <sup>2)</sup>. Grillparzer częstszym bywał gościem u legacyjnego radcy Piquota, którego wysoce wykształcona, urodziwa córka Marya mocno zajęła się poetą. Wiadomość, że Grillparzer jest już narzeczonym innej — jak o tem wnet wspomnimy — boleśnie bardzo dotknęła dziewczynę, ale miała tyle hartu duszy, iż przed nikim nie zdradzała swojej boleści. Nawiedzały ją przeczucia bliskiego zgonu i trapiły sny,

<sup>1)</sup> Zob. artykuł autora: „Kilka uwag o historii literatury i jej metodzie“ w „Przewodniku nauk. i liter.“ 1883, str. 941 i nast.

<sup>2)</sup> Zob. „Ein Erlebnis“. W 8 tomie „Dziel“.

śmierć rokujące — śmiano się jednak tylko z trwogi kwitnącego dziewczęcia. Ale przecucia jej miały się ziścić; zaziębiwszy się, wpadła w gorączkę nerwową i wskutek recydywy umarła. Dopiero po jej śmierci z pozostawionego na piśmie rozporządzenia ostatecznej woli i wyznania jej, dowiedziano się, że poetę kochała głęboko, z całej duszy, ale że on nietylko jej nie był wzajemny, lecz nawet przypuszczać nie mógł, że jest kochany. Poleciała go opiece rodziców, prosiła ich, aby go uważali za syna swego. Do ostatecznej chwili życia Grillparzera znajdował się w pomieszkaniu jego portret nieszczęśliwej Maryi Piquot, a za ramą list jej na chwilę przed śmiercią pisany.

Jednakowoż najściślej związane pozostanie na zawsze z imieniem Grillparzera imię Kasi Fröhlich. A łączność ich imion sięga także tych właśnie czasów, do których teraz opowiadanie nasze doprowadziliśmy.

W salonie rady cesarskiego Fröhlicha, zamożnego fabrykanta, zbierało się w owych latach towarzystwo doborowe. Bywali tam Beethoven, Schubert, Schreyvogel, literaci Castelli, Deinhardstein i wielu innych zajmujących wówczas mniej lub więcej zaszczytne stanowisko w świecie artystyczno-literackim stolicy — bywał i Grillparzer. Państwo Fröhlichowie mieli cztery piękne córki: Anna, najstarsza, była znakomitą pianistką i celowała niesłychanym darem konwersacyjnym; druga, Betty, kształciła się z pomyślnym skutkiem w malarstwie; trzecia, Józefa, była artystką w śpiewie, dla niej to napisał Schubert „Serenadę“ (*Ständchen*); najmłodsza, Kathi (Katarzyna), urodzona w grudniu 1803 r., okazywała niepospolity talent do sztuki dramatycznej i do języków, których kilka posiadała.

Znajomość Grillparzera z domem Fröhlichów datuje się od roku 1817. Z początku zdawała się Anna zajmować go bardziej, ale wkrótce wywiązał się stosunek między poetą i najmłodszą, Kasią. —

W taki sposób przedstawiano dawniej początek tego stosunku. Dopiero w swej najnowszej publikacji o życiu Grillparzera, przytoczył Laube list poety do swego przyjaciela Altmüttera, w którym sam opowiada o miłości swojej. Najpierw czyni sobie gorzkie zarzuty z powodu swej niestałości wobec kobiet, wyznaje, że skoro ideał uleciał, natychmiast i miłość zniknęła, bada przyczyny swej niewierności — a na końcu opowiada, jak poznał Kasię podczas produkcji muzycznej. Ona się znajdowała w gronie słuchaczy, kiedy siostry jej tercet wykonywały — potem wraz

z wielu innymi do nich przystąpiła. Wtedy przedstawiono im Grillparzera. W owych czasach byli Fröhlichowie już ubogimi, a córki lekeyami dom utrzymywały. Kasia i Grillparzer po krótkiej znajomości uchodzili za zaręczonych, a szczęście ich maluje żywo kilka wierszy poety z owych czasów.

Ale to szczęście trwało tylko krótko — a raczej chwilami tylko zawitało. Grillparzer głęboko w łonie swem czuł jakąś rozterkę, dysonans, niezgodę, jakąś niechęć do życia: gdy ten czarny demon opanowywał go, szukał samotności, unikał ludzi, wydawał się zimnym i nieczułym. Może byłoby go zmieniło jednakowe łagodne postępowanie, może demon ciemności byłby ustępował powoli i zupełnie, gdyby Kasia była usiłowała nabyć sztukę obchodzenia się z poetą, to pogodnym i wesołym, to znów w następnej godzinie rozdartym i w melancholii pogrążonym. Ale jej duch był równie nieskłonny do ustępstw jak duch poety, którego jej upór tylko bardziej jeszcze ku skrajnemu usposobieniu potraçał.

Nim zaś ta sprzeczność charakterów wystąpiła, przygotowywało się przecież przez czas pewien wesele. Już było najęte pomieszkanie, i wyprawa zakupiona. W tem, prawdopodobnie o pomieszkanie i meble, narzeczeni się posprzecziali i wszystko odroczone.

„Dziewczyna — czytamy w dzienniku Grillparzera — miłością i uszanowaniem da się powodować aż do zatracenia własnej woli, ale zaraz potem staje się najuporczywszą istotą w świecie; a póki trwa rozdrażnienie, nie jest ona w stanie milczeć albo sporu przerwać, chociażby o wszystko chodziło. Czemuż ta istota w moje ręce wpaść musiała, albo czemuż kiedy przyszła jej myśl postawienia się na równi ze mną!“

Pewnego razu gwałtowny wybuch jej wiecznie żywej zaźdrości przekroczył wszelkie granice. Grillparzer oświadczył wtedy, iż stałe połączenie uważa za niemożliwe. Odszedł. Kasia wpadła w ciężką chorobę. Gdy po długim czasie do zdrowia powróciła, sama przyznawała, iż pomiędzy nimi o małżeństwie myśleć niepodobna.

Smutny przebieg tego stosunku i smutne powody katastrofy opowiada poeta w wierszu *Jugenderinnerungen im Grünen* w następujących rzewnych zwrotkach:

*Da fand ich sie, die nimmer mir entschwinden,  
Sich mir ersetzen wird im Leben nie,*

*Ich glaubte meine Seligkeit zu finden,  
Und mein geheimstes Wesen rief: Nur die!*

*In Glutumfassen stürzten wir zusammen,  
Ein jeder Schlag gab Funken und gab Licht;  
Doch unzerstörbar fanden uns die Flammen,  
Wir glühten, aber ach! wir schmolzen nicht.*

*Denn Hälften kann man an einander passen,  
Ich war ein Ganzes, und auch sie war ganz;  
Sie wollte gern ihr tiefstes Wesen lassen,  
Doch allzu fest geschlungen war der Kranz*

*So standen beide, suchten sich zu einen,  
Das andre aufzunehmen ganz in sich;  
Doch all umsonst: trotz Ringen, Stürmen, Weinen,  
Sie blieb ein Weib — und ich war immer: ich!*

*Ja, bis zum Grimme ward erhöht das Mühen,  
Gesucht im einzelnen, was im ganzen lag,  
Kein Fehler ward, kein Wort ward mehr verziehen,  
Und neues Quälen brachte jeder Tag.*

*Da ward ich hart. Im ew'gen Spiel der Winde,  
Im Wettersturm, von Sonne nie durchblickt,  
Umzog das stärk're Bäumchen sich mit Rinde,  
Das schwäch're neigte sich und war zerknickt!*

*O seliges Gefühl der ersten Tage,  
Warum musst du ein Traum gewesen sein?  
Lebt denn das Schöne nur in Bild und Sage,  
Und schlürft's die Wirklichkeit wie Nebel ein?*

Tak smutno skończyła się krótka miłosna sielanka w życiu Grillparzera. Czuł się bardzo nieszczęśliwym. A tu na domiar biedy nawet zwykłe warunki życia nie dopisywały.

Hr. Stadion, niezrównanie szlachetny dobroczyńca jego, umarł na początku r. 1824. Następca jego w urzędzie, hr. Nadasdy, był człowiekiem zupełnie niezdolnym. Grillparzera nie lubił, a szczególne zdarzenie dało mu do rąk broń przeciw niemiłemu koncepcie przydyalnemu.

Istniał wówczas w Wiedniu rodzaj wesołego klubu pod nazwą *Ludlamshöhle*. Należało do niego oprócz literatów także wiele osób z rozmaitych stanów. Było to towarzystwo ku żartobliwej i rozśmieszającej rozrywce w duchu *des alten lustigen Wien*, zresztą politycznie zupełnie bezbarwne i niewinne. Otóż klub ten, o którym cały Wiedeń wiedział, zadenuncjonował ktoś policyi jako będący w związku z ruchem karbonarów. Pewnego dnia o godzinie 10 wieczór zamówił dyrektor policyi do siebie wszystkich komisarzy śródmieścia i przedmieść i wyruszył wraz z nimi i wielkim pocztem policyantów do restauracji, która służyła za miejsce zebrania dla klubu. Rozumie się, iż nikt oporu nie stawiał. Władza zdjęła dokładny opis lokalności, pootwierala szafy, zabrała papiery, obrazy, fajki, nawet fidybusy, i wielką tablicę, a to z niemałą ostrożnością, aby nie uszkodzić tajemniczego napisu kredą: „Tym razem przypada sobota na niedzielę“ (co miało znaczyć, że zamiast w zwykły dzień klubowy, t.j. w sobotę, tym razem będzie zebranie w niedzielę). Członków obecnych dokładnie zrewidowano i zacytowano wszystkich do policyi.

Grillparzer rzadko tylko uczęszczał do *Ludlamu*, ale także 24 godzin aresztu domowego wysiedzieć musiał. Po wypadku właśnie opisanym (choć naturalnie niewinność całej sprawy na jaw wyszła) hr. Nadasdy miał pozorny powód tłómaczenia niechęci swej do Grillparzera. Dobitnie świadczy o tem to, że gdy po śmierci ministra Stadiona wszyscy urzędnicy biura prezydyjalnego dodatki osobiste zachowali, które pobierali dawniej, jeden tylko Grillparzer musiał co kwartał osobno o ten dodatek się podawać — a z pewnością nie byłby tego czynił, gdyby nie uciążliwe obowiązki wspierania licznej rodziny brata, który sam wtedy nie dla niej uczynić nie mógł.

Śród tak przykrych stosunków, gdy i miłość nie ziściła nadziei w niej pokładanych, gdy wyższość ducha daremnie pragnęła uznania — przybity do głębi poeta, postanowił szukać ulgi dla swych cierpień w podróży. A celem tej podróży była Mekka niemieckiej literatury klasycznej, miasto, gdzie wtedy jeszcze żył i panował nad umysłami jak bóg, ów olbrzymi geniusz, któremu tak swoi jak i obcy pokłon i eżeść oddawali. Nawet dumni i autokratyczni w zdaniach swych romantycy ostrożnie obchodzili tę kolosalną postać, pochlebstwem napełniając usta swoje; Grillparzer zaś, który nie chciał mieć wspólnego z nową szkołą, który tylko pragnął nawiązywać do ideałów epoki klasycznej i cały artystyzm swój w tym kierunku skupiał, dążył jak pielgrzym

z przepelnionem czeią sercem w owe uroczę strony, które były mieszkaniem Goethego. A chociaż Grillparzer ówczesnego charakteru działalności pisarskiej Goethego, rozpraszającej się zbyt po wszystkich rodzajach wiedzy i poezji i dlatego osłabionej w każdym objawie swoim, jak również pewnej apaty i kwietyzmu jego wobec nowości literackich wcale nie pochwalał, to przecież jak nabożny katolik pokrzepia duszę pielgrzymką do miejsc świętych, tak on pełen gorącej wiary pielgrzymował ku Wejmarowi, ażeby już sam widok Goethego natchnął go świeżą odwagą.

---



## VI.

(Podróż. U Goethego. Powrót. „Wierny sługa“. Osobliwa propozycja. Klasztor pod Sandomierzem.)

---

Przez Pragę, Drezno, Berlin, Lipsk szła droga do Wejmaru. Pobyt swój w miastach wymienionych zużytkował Grillparzer w odpowiedni sposób; szczególnie teatr i dzieła sztuki były wszędzie ulubionym przedmiotem jego uwagi. Poznał się po drodze z wielu literatami, których dawniej znał z działalności ich albo tylko z nazwiska — ale znajomości tych nie pielęgnował, bo do wszelkiej korespondencji czuł zawsze niewymowny wstręt; także nigdy w życiu w interesie dzieł swoich z nikim nie zawiązywał żadnych stosunków. To też zapominano o nim później niemal zupełnie, a skutki tego osamotnienia literackiego odbijają się po dziś dzień jeszcze mocno na pamięci poety.

Z biciem serca i trwogą zbliżał się skromny poeta do Wejmaru: bo chociaż sam cenił się wysoko w porównaniu z współczesnymi okrzyczanymi koryfeuszami, to przecie w stosunku do utworów klasycznych i wielkich pisarzy epoki wejmarskiej wydawał się sobie tylko słabiutkim cieniem poety. Przybywszy do grodu Muz posłał bilet do Goethego z zapytaniem, kiedy mógłby mu służyć. Otrzymał zaproszenie na wieczór na herbatę.

Dopiero gdy całe towarzystwo było już zebrane, wszedł do salonu Goethe w pełnej gali, z orderem na piersiach, sztywny i zimny. Grillparzer, jak i wielu innych, którzy w owych czasach Goethego odwiedzali, czuł się tą zbytnią formalnością ministra niemile dotkniętym. Było to niewymownie przykro dla Grillparzera zobaczyć ideał swojej młodości, twórcę *Fausta* i *Egmonta*,

jako sztywnego dyplomate, który na chwilę ukazał się gościom swoim i wnet się oddalił, odprawiając ich konwencyonalnym ukłonem. Wrażenie to tak dalece rozstroiło Grillparzera, iż omal nie żałował podróży do Wejmaru: sam wyznaje, że byłby wolał prawie, żeby go Goethe był przyjął gburowato i za drzwi wyrzucił, niż tę etykietalną, zimną formalność.

W takim usposobieniu zastało Grillparzera zaproszenie Goethego na obiad na jeden z następnych dni. Tą razą ujmował minister tyle uprzejmością i ciepłem, ile pierwszą razą zimną obojętnością zrażał. To też, opowiada Grillparzer, „dusza moja czuła się do głębi poruszoną. A gdy zapowiedziano obiad, a ten mąż, który dla mnie był ucieleśnieniem poezji, którego oddalenie i ogromny odstęp uczyniły w myślach mych prawie mityczną postacią — teraz rękę mi podał, aby mnie do pokoju jadalnego poprowadzić, to znów owładnęło mnie usposobienie dziecięce i oczy moje łzami zaszyły. Goethe starał się wszelkimi sposobami maskować moją naiwność“.

Jakże pięknie świadczy ten wybuch uczucia o szlachetnem sercu Grillparzera! Kogoż nie wzruszy ten epizod! Scherer jest tylko tłumaczem wrażenia, którego tu każdy dozna, gdy powiada: „Nigdy Grillparzer nie przedstawiał mi się tak miłym i godnym czci, jak w tej chwili wybuchu chłopięcego uczucia!“

Goethe zatrudniał stale rysownika w celu zdejmowania portretów wszystkich wybitniejszych osobistości, które go odwiedzały. I Grillparzer też został na następne przedpołudnie zaproszony, aby siedzieć portreciście. Poczem Goethe okazywał mu rozliczne pamiątki, które wysoko cenił, jak n. p. korespondencję Byrona, przywilej ochraniający dzieła jego od przedruku i t. p. W ogóle Goethe okazał się jak najżyczliwiej usposobionym dla niego.

Musiała to zdziałać osobistość Grillparzera, gdyż Goethe, jak to dziś dokładnie wiemy, jak z zasady współczesnych utworów poezji niemieckiej nie czytywał, tak również i żadnego dzieła Grillparzera nie czytał, i znał je chyba tylko z doniesień swego intymusa, muzyka Zeltera, którego sądy o Grillparzerze co do niedorzeczności i niesłuszności nie do życzenia nie pozostawiają. Goethe sam, zrobiwszy osobistą z Grillparzerem znajomość, tak pisze do Zeltera: „Grillparzer jest to przyjemny, miły człowiek. Można mu przypisać wrodzony talent poetycki: dokąd sięga i czy starczy, nie chcę powiedzieć. Wydawał się śród naszego wolnego życia nieco przygnieciony, co zresztą naturalna“.

Bo też w Wejmarze wszystko tchnęło i żyło literaturą i sztuką; te przedmioty przykuwały do siebie powszechną uwagę. W Wiedniu zaś Grillparzer był przede wszystkim urzędnikiem; że poezją słynął, to nie tylko nie opromieniało go żadnym blaskiem, ale przeciwnie stawało mu jako urzędnikowi na każdym kroku w drodze.

Nie więc dziwnego, że Grillparzerowi w tym innym nowym świecie wejmarskim nieco dziwnie się wydawało, i że nie czuł się jakoś swobodnym. Gdy kanclerz Müller w wieczór dnia tego, kiedy go portretowano, polecił mu, aby nazajutrz wieczór odwiedził Goethego, którego zastanie samym, a odwiedziny jego będą mu z pewnością bardzo miłe: Grillparzer, dorozumiewając się, że Müller oświadczył mu to niezawodnie za wiedzą Goethego, po długim wahaniu się nie poszedł, bo bał się sam na sam z wielkim Goethem cały wieczór przepędzić.

Nie poszedł tedy Grillparzer, a to, jak sam sądzi, Goethego dla niego oziębilo. Przy wizycie pożegnalnej był grzecznym i uprzejmym, ale nie więcej.

Cały Wejmar wydał na cześć odjeżdżającego Grillparzera bankiet, na którym się także syn Goethego z polecenia ojca znajdował. W ogóle oznak sympatyj powszechnej dla Wiedeńczyka nie brakowało.

Gdy Grillparzer do Wiednia powrócił, chciał rozpocząć nowy żywot, zerwać z dotychczasową chwiejnością, działać stanowczo, i co roku jeden dramat ukończyć. Zamiast nudnej i jałowej korespondencji, której nienawidził, chciał ofiarować Goethemu pierwsze swe nowe dzieło.

Już rok przedtem, kiedy cesarzowa koronować się miała na królową węgierską, udano się do Grillparzera z propozycją napisania dramatu stosownego do uświetnienia koronacji. Zaczął tedy poeta wertować annały i kroniki węgierskie; ale do dramatu nadawały się tylko ciekawe epoki rokoszów i buntów. Taki temat zaś zaprawdę nie mógł służyć na dzień koronacji; a do tego względu przyłączył się jeszcze wzgląd na cenzurę. W najstosowniejszym ze wszystkich tematów byłby występował król Szecepan i syn jego Emeran. Na tych zaś wystąpienie cenzura nigdy nie mogła się zgodzić, bo obaj jako w poczet świętych zaliczeni, z zasady nie mogli się okazywać na scenie. Odmówił tedy poeta propozycji z przyczyny, iż nie znalazł stosownego tematu.

Jednak z ananlistów przeczytanych wyłoniła się poecie postać palatyna Bankbana. Zajmowała go ona w wysokim stopniu. Zaczął dramat o Bankbanie jeszcze przed podróżą, a teraz go ukończył. Ma on tytuł: *Ein treuer Diener seines Herrn*, a treść jego w krótkości jest następująca:

Król węgierski Andrzej udaje się na wyprawę wojenną. Jako regentkę podczas swej nieobecności ustanawia małżonką swą Gertrudę, a u jej boku, jako podporę męską zostawia starego Bankbana. Jego opiece porucza kraj, żonę i dziecię i poleca mu najgoręcej utrzymanie pokoju; inaczej kiedyś o nim powiedzą

Był starcem, a nad sobą nie panował,  
Był Węgrem, a zapomniał o wierności,  
Był mężem, a co przyrzekł, nie dotrzymał.

Królowa kocha namiętnie swego wyuzdanego z praw moralności brata, pięknego i gwałtownego Ottona; z nim chciała dzielić rządy, i dlatego od początku niechętna jest ustanowionemu przeciw jej woli Bankbanowi, który sumiennie z niesłychanym zaparciem się samego siebie, obowiązki swoje wypełnia. To ściągą nań drwiny i śmiech lekkomyślnych dworaków, którzy teraz w ślad za młodą Gertrudą i zuchwałym Ottonem w najlepsze hulają.

Młoda enotliwa żona Bankbana, Erny, pozostawiona sama sobie, bez opieki męża, zajętego nad siły swoje sprawami państwa, których oprócz niego nikt teraz nie dogląda, obudza grzeszną żądzę w duszy Ottona. Namiętny gwałtowny Otton posuwa się do tego, że postanawia zmusić zacną małżonkę Bankbana do uległości. Królowa powołuje Erny do siebie, gdzie zjawia się książę. Gdy chce ją kazać uprowadzić na jeden z zamków swoich, Erny sztyletem pierś swoją przeszywa.

W tej strasznej chwili Bankban nie traci hartu duszy i poczucia obowiązków. Najbliżsi krewni jego i żony domagają się wydania im występnego księcia; królowa się opiera. Urażeni podnoszą bunt, szturmują zamek królewski, a rodzina panująca znajduje się w najwyższym niebezpieczeństwie. W tem zjawia się Bankban, aby uprowadzić potajemnie królowę z małoletnim królewiczem i nawet księcia Ottona. Królowa, którą w ciemności wzięto za księcia, pada z ręki buntowników, książę z małym królewiczem ratuje się ucieczką, Bankban stawia dalej opór buntownikom, mimo że oni właściwie krzywdę jego chcą pomścić. W końcu pokonywa

wzburzone umysły i oddaje powracającemu królowi miasto upokorzone i ujętych przewodców rokoszu.

Jestto jeden z najoryginalniejszych dramatów Grillparzera. W charakterze Bankbana apoteozuje poeta bohaterstwo najrzadsze, najtrudniejsze. Niechętnie przyjął Bankban obowiązki: ale je przyjął, i słowa dotrzymuje, chociaż mu serce pęka. Jest on nie tylko wiernym sługą, lecz i wiernym mężem.

Gdy wkrótce po napisaniu tego dramatu przygotowywała się era liberalna, zarzucano mu zbyt poddawanie się bohaterowi. Ale najlepiej rozstrzygnęła tę kwestyę publiczność, która tak w erze absolutnej jak i później za czajów wolniejszych, zawsze licznie uczęszczała na ten dramat i z wielkim upodobaniem go słuchała. Jeźliby zaś istotnie idea skrajnego służalstwa w nim tkwiła, to „wierny sługa swego pana“ nie byłby się utrzymał na scenie w nowszych czasach.

Dnia 28 lutego 1828 r. dawano tragedję po raz pierwszy w teatrze nadwornym. Publiczność przyjmowała ją z ogromnym entuzjazmem, a gdy po akcie trzecim uporczywie domagała się ukazania autora, przyszedł najwyższy zarządca teatrów, hr. Czernin, do poety i powiedział mu, że dramat cesarzowi bardzo się podobał i gdyby publiczność tego żądała, cesarz poleca mu wyjść i podziękować. Tak się też stało; na końcu sztuki Grillparzer wyszedł i ukłonem podziękował.

Tem bardziej się zadziwił, gdy nazajutrz otrzymał wezwanie do prezydenta policyi, hr. Sedlnitzkiego. Ten nieco zaambarasowany zaczął temi słowy, że ma polecenie oświadczyć mu, że sztuka jego bardzo się podobała cesarzowi. Grillparzer odrzekł że już wczoraj hr. Czernin mu to samo wyraził. Wtedy powiedział hr. Sedlnitzky, że sztuka tak dalece cesarzowi się podobała, iż życzy sobie być jedynym jej właścicielem i tylko sam jeden posiadać ją pragnie w swej bibliotece: że wszelkie z tego powodu, mianowicie z nieprzedstawiania jej już nigdy i nigdzie, wynikające straty rad wynagrodzi. Na odpowiedź Grillparzera, że przecież nie będą go uważali tak nisko myślącym, żeby za pieniądze jedną z prac swoich wykreślił z liczby istniejących, zauważył Sedlnitzky: Nie chodzi w tej sprawie wcale o to: czy, tylko o to: jak.

Nie pozostało tedy Grillparzerowi nic, jak tylko powiedzieć, że już sam nie jest panem dzieła swego; gdyby nawet, jak chciał Sedlnitzky, odebrano suflerowi i aktorom manuskrypt i role, to istnieją kopie, które sam autor sporządzić kazał; a kto wie czy

sufferzy, jak to czasem czynią, także nie skopiowali już dzieła dla lubujących się w nowościach teatralnych.

Na tem sprawa ugrzęzła. Ani Grillparzer nie wiedział wtedy, ani my dziś nie wiemy, co spowodowało ten dziwny epizod; może być że jak „Otokar“ zdawał się drażnić Czechów, tak obawiano się „Wiernego sługi“ w Węgrzech. A może lojalność Bankbana wydawała się za daleko posuniętą i obawiano się, że ten nadmiar ideę samą na szwank narazi. Jakiegokolwiek były przyczyny tak dziwnego, niebywałego w dziejach literatury wymagania, rzecz sama bardzo niekorzystnie oddziaływała na usposobienie poety. Cóż bowiem miał pisać, jeżeli nawet taki patriotyczny dramat, jak „Ottokar“, jeżeli rzewnie i szczerze lojalny „Wierny sługa“ na przeszkodę napotykały!

Dramatu wydrukowanego nie dedykował Goethemu: nie wydawało mu się bowiem dzieło to tak skończonem, żeby mogło na wieszcu wejmarskim dobre zrobić wrażenie. A ponieważ także i nie pisał do niego, przeto — jak sam powiada — „Goethe zapewne sądził, iż moje odwiedziny spowodowała tylko moda i ciekawość, i że nie żywię w sercu owego przywiązania i czci głębokiej dla niego, które zachowam do kresu dni moich. Później o niektórych wspominał w pismach i rozmowach, o mnie nigdy. Zdaje się, iż mnie pomieślał z resztą hołoty“.

W innym miejscu wyraża się podobnie z żalem o Goethem: „Także w późniejszym czasie nie obszedł się ze mną według słuszności, o ileżę przecie, mimo wszelkiego oddalenia, uważam się za najlepszego, który po nim i Schillerze wystąpił. Że zaś to nie zmniejszyło mojej miłości i czci dla niego, nie potrzebuję oświadczać“.

Około tego czasu, w którym kończył Grillparzer „Wiernego sługę“, napisał także opowiadanie: *Klasztor pod Sandomierzem*, wydrukowane w roczniku: „Aglaja“ na r. 1828. Dwóch rycerzy niemieckich wysłanych w poselstwie do króla Sobieskiego, zajeżdżają na nocleg do klasztoru pod Sandomierzem. Tu wpada im w oczy postać braciszka, będąca w największej ze stanem jego sprzeczności. Pytają go o dzieje tego klasztoru. On im opowiada wzruszające koleje życia pewnego hrabiego, który, wszystko poświęciwszy dla swojej żony, poznaje w niej potwora i zabija ją. Złamany brzemieniem okrutnego losu i dręczony wyrzutami sumienia, zakłada klasztor i pokutuje w nim. Skończywszy okropną swą opowieść braciszek spieszenie odchodzi. W końcu wyjawia

się, cośmy przeczuwali, że nieszczęśliwym bohaterem był opowiadający.

Niewiadomo skąd Grillparzer zaczerpnął treść do tego opowiadania, bo trudno przypuścić, żeby całość była tylko utworem wyobraźni, szukającej tła dla działania swych wyrojonych postaci aż w Polsce. Zaprzecza temu już sam tytuł, który brzmi: *Das Kloster bei Sandomir. Nach einer als wahr überlieferten Begebenheit*. Opowiadanie odznacza się dramatycznością, pełną życia, i zajmuje czytelnika w wysokim stopniu.

---

## VII.

(„Morza i miłości fale”. Niemiec austriacki i północny. „Sen życiem”. Koniec Schreyvogla. „Meluzyna”. „Wspomnienia o Beethovenie“.)

Jak widzieliśmy, poezya Grillparzera odeszła na dłuższy czas od starożytności w nowsze czasy; ale teraz wróciła znowu do pięknego jasnego światła helleńskiego.

Już od lat kilku starożytne podanie o Heronie i Leandrze zajmowało poetę. Wiadomo, iż dzieje miłości tej nieszczęśliwej pary już grecką lirę natchnęły; i posiadamy nawet mały poemat *Hero i Leander*, który się do słuchaczy odzywał jakby późny odźwięk zagubionej i zapadłej gęśli Homerowej<sup>1)</sup>. To małe, ale cenne epos podało także Grillparzerowi najgłówniejsze rysy fabuły dramatu, którego bohatera i bohaterkę wszyscy znali z ballady Schillera:

Na przeciwnych brzegów szczyście  
Stare zamki te widzicie  
W słońca blaskach lśniące się,  
Kędy przez skaliste brzozy  
Dardanelów zapieniony  
Helespontu nurt się drze?  
Czy słyszycie jak się łamie  
Z rykiem wał u skalnych łon?  
Azyę oddał od Europy,  
Miłości nie starezy on.

<sup>1)</sup> Muzajosa poemat „Hero i Leander” przełożył i wydał kilka lat temu Franc. Konarski. (W Warszawie, nakład Wiślickiego.)



Otóż bezgraniczna potęga głębokiej miłości, upojenie ze szczęścia nad otehląnią śmierci zuchwale zrywanego, żal i rozkosz i smutek i tęsknota nawzajem się goniące, a w końcu rozpacz na ziemi, ale tryumf w cudownym świecie ideałów: to treść tej tragedyi, w której niewiedzieć co najczęściej podziwiać: czy twórczość wyobraźni, czy wzniosłość uczucia, czy znajomość tajników serca ludzkiego, czy świeżą wonną rosę poezyi! „Równie dziewiczego wdzięku“, wyraża się jeden z najpowołańszych znawców literatury powszechnej — „nigdy poezya nie wyraziła — jak w trzecim akcie tej tragedyi, która w ogóle, jako tragedia miłości jest jedyną w piśmiennictwie niemieckim, w powszechnem zaś jedna obok „Romea i Julii“ postawioną być może“.

Mało które z dzieł swoich pisał Grillparzer z tak nadzwyczajną starannością i z tak wielkiem zamiłowaniem. Mimo niezgłębionych zasobów uczucia, którymi dramat się odznacza, przecież każda osoba, każda scena, każde słowo i każde poruszenie świadczą o pełni myśli wytrawnego artysty. Czwarty akt, który najmniej akcyi posiada — a niemają to szkopał, gdyż właśnie ku końcowi dramatu powinien raźniej płynąć tok wypadków — czwarty akt jest takim z woli i zamiaru poety, a znakomita artystka potrafi senną tęsknotą i smętnem rozmarzeniem przejąć w nim widzów do głębi i wywołać w nich uczucie, jakie autor zamierzał.

Pierwsze przedstawienie „Morza i miłości fal“ (*Des Meeres und der Liebe Wellen*, któryto tytuł zamiast najbliższej leżącego „Hero i Leander“ wybrał Grillparzer, aby naznaczyć, iż do charakteru starożytności przymieszał nieco pierwiastku romantycznego) odbyło się w „Burgu“ d. 3 kwietnia 1831. Pierwsze trzy akty podobały się, mniej działały dwa ostatnie, i dla tego ogólne wrażenie nie można było nazwać zadowalającym. To też po kilku przedstawieniach znikł dramat z repertoaru.

Dopiero we dwadzieścia lat później wznowiony, odniósł ogromny tryumf, i stał się popularnym. Zagadka tej zmiany leży w roli bohaterki. Z reguły Grillparzer tworzył z żywej intuicyi, a nie środkami refleksyi; otóż jego Hero musi odznaczać się pewnym naturalnym wdziękiem, świeżością młodości — cały dramat pisany bowiem z takiego punktu zapatrywania. Skoro też nadobnością i naiwnym zmysłem piękności obdarzona artystka objęła rolę, natychmiast dramat okazał w całej pełni swą wartość estetyczną. Ale tylko w Austrii. Niemca austriackiego cechuje bowiem pewne naiwne poczucie piękna, które przyjmuje dzieło sztuki otwartem sercem bez prozaicznych uwag moralizującego

rozsądku — i cieszy się barwnością, poezją, fantazją. Niemiec północny, wręcz przeciwnie, nie oddaje się wrażeniom z naiwnością, u niego przoduje refleksja.

Ta przewaga pierwiastku refleksyjnego u Niemców północnych wielce szkodliwa nadobnej literaturze niemieckiej. Grillparzer jest najwyraźniejszym, najotwartzszym przeciwnikiem refleksji w poezji: cała jego twórczość poetyczna tak stanowczo jak bodaj czy u jakiego innego poety, zasadza się na intuicji, na widzeniu oczyma duszy, a wymaga niekrępowanych pobocznymi względami, wrażliwych na swobodne poloty wolnej wyobraźni słuchaczy. Stąd pewien wstręt północnych Niemców do Grillparzera, ale stąd także sympatya Austryaków z Austryakiem. Ich naiwne dusze wtórują współbrzmieniem jego lirze, a jego Hero zdobywa pokrewieństwem duchowem ich serca.

Po ukończeniu precudownej tragedji miłości wydobyl Grillparzer z rękopisów swoich rzecz zaraz po „Matce rodu“ rozpoczętą, a więc jakoby swój drugi dramat. Alegoryczna bajka Voltaira p. t. „*Le blanc et le noir*“, pobudziła wyobraźnię jego do nadzwyczaj oryginalnego dramatu, który z początku nazwał „Cieniem życia“ („*Des Lebens Schattenbild*“), później zaś „*Der Traum ein Leben*“ („Sen życiem“).

Pracę nad tym dramatem, rozpoczętą w Badenie w maju i czerwcu 1818 r., przerwał Grillparzer, gdy aktor, któremu przeznaczyl był rolę Zangi, murzyna, oświadczył, że nie może i nie chce grać murzyna, żądając aby Zanga był białym. Przedstawiono także w Wiedniu właśnie o tym czasie dramatyczną baśń pod tyt.: „Śpij, śnij i poznaj“ („*Schlummre, träume und erkenne*“), w której podobnie jak i w planie Grillparzera przedmiotowy sen główną rolę odgrywał. Nowość idei była więc stracona<sup>1)</sup>. Może nareszcie obawiał się poeta pewnego podobieństwa między „Matką rodu“ i nowym dramatem, mianowicie w tym względzie, iż im obudwom wspólna pewna cecha bajeczności, według której powierzchowny

<sup>1)</sup> Tak Grillparzer w autobiografii rzecz przedstawia, jakoby pracę przerwał spowodowany tożsamością idei w rozpoczętej swojej i przedstawionej równocześnie obcej sztuce. Ponieważ zaś tę ostatnią dnia 4go kwietnia 1818 w Wiedniu grano (zob. Goedeke III, p. 829), a Grillparzer w maju i czerwcu nad swoim dramatem pracował, więc chyba później dopiero względ na taką analogię decydująco zaważył na szali, gdy już inne względy ujemnie działały.

krytyk mógł je łatwo przeznaczyć dla teatrów przedmiejskich. Tem spostrzeżeniem kłopotał się poeta już przy „Matce rodu“ niemało, a drugie analogiczne dzieło musiało chyba pobieżnie i płytkie sądy, autorowi nieprzyjemne, utwierdzić i uszyć. Obrat tedy „Safonę“, której wstępu do przybytku klasycznej Muzy odmówić niepodobieństwem było.

Dopiero po latach wrócił poeta do rozpoczętego dzieła i rażno je ukończył. Schreyvogel nie był wcale zachwycony, a przede wszystkim wątpił o możebności przedstawienia. Grillparzer wątpliwości tej nie podzielał, gdyż pisząc, żywo widział wszystko przed oczyma, jak się odbywało. Może też być, że Schreyvogla, który sam przerobił był dla sceny niemieckiej Calderona „Życie snem“, tytuł podobny raził jako śmiałość niedozwolona. I znów leżała sztuka, lubo już gotowa — gdyż Grillparzer obawiał się nieporozumień ze Schreyvoglem.

Ale Schreyvogel, zasłużony dramaturg, twórca wielkości teatru nadwornego, po 18 latach mozolnego i wzorowego kierownictwa padł ofiarą najniegodniejszego postępowania i niecnej kabały. Wkrótce potem, bo zaledwie we dwa miesiące po nagłym spensyonowaniu, umarł, w lipcu 1831 r. W nim stracił Grillparzer wieloletniego przyjaciela i szczerego a światłego doradcę. Pamięci jego poświęcił zaszczytny nekrolog, a w biografii swojej wszędzie z czcią i wdzięcznością męża tego wspomina.

Po ustąpieniu Schreyvogla przedłożył Grillparzer dyrekcji „Burgu“ swoją baśń dramatyczną.

Bohaterem dramatu: „Sen życiem“ jest młody, piękny, namiętny Rustan, mieszkający u swego stryja, cichego, spokojnego wieśniaka, którego córka tkliwie go kocha. Ale gdzie tam w duszy Rustana miejsce dla sielskiej miłości! On dzień a często i noc spędza na polowaniach, błąka się po samotnych manowcach, i marzy o świetnej przyszłości, o laurach wojennych, o zdobyczach, o koronie i panowaniu. Murzyn Zanga dorzuca drzazek do tych płomieni i roznieca je nieustannie. Nareszcie postanawia Rustan udać się w świat, do Samarkandu, tam zasłynąć jako wojownik i jeśli można, nawet tron uzyskać. Ostatnią noc przepędza pod strzechą swego wuja, rano ma go Zanga zbudzić, i z nim razem w świat się wyprawić. Zasypia.

Kiedy zasłona znów się podnosi, widzimy Rustana i Zangę już daleko od rodzinnej wioski. Król Samarkandu napadnięty przez groźnego zwierza jest tego przekonania, że Rustan go wy-

bawił z niebezpieczeństwa i błogosławi mu. Rustan waha się z początku, wiedząc oczywiście, że nie on, lecz kto inny uratował króla, ale za namową Zangi korzysta z błędu księcia, przypisuje sobie zasługę i zgładza właściwego zbawcę. Tak toruje sobie drogę do łaski króla, do ręki jego córki i panowania, ale ta pierwsza zbrodnia pociąga za sobą cały szereg innych — zmusza go do ciągłych kłamstw, intryg, sprzeniewierzenia się, skrytobójstwa. Całe jego życie staje się strasznym pasmem występków, jedną krwawą strugą, w której pokój i szczęście na wieki zatracone. Do tego moralnego upadku przyłącza się w końcu i upadek realny. Rustan, zwyciężony przez przeciwników swoich, ma wybór tylko między śmiercią z ręki kata albo samobójstwem — a ten, co się wydawał jego przyjacielem, co go kusił do wszystkiego złego, Zanga, okazuje się w tej ostatniej chwili w całej swej szatańskiej złości. Rustan rzuca się z wysokiego mostu do potoku.

Wtem znika wszystko. Jesteśmy znów pod strzechą sielską, i widzimy Rustana dręczonego we śnie niespokojnym, jakimiś strasznymi marzeniami. Poczyna właśnie świtać, i Zanga przychodzi go budzić — ale Rustan rzuca się na niego z najstraszniejszą wściekłością i ciska sztyletem za nim, tak że Zanga przerażony umyka. Powoli przychodzi Rustan do świadomości, że tylko śnił — napawa go to niezrównanem szczęściem: okropne brzemię zbrodni i wyrzutów, co piersi jego przygniatało, spada, oddycha wolny z błogiem uczuciem. „Jedna noc — a była życiem“ — przyznaje uszczęśliwiony i uleczony tym snem od zgubnych mrzonek chorobliwej ambicji. —

Gdy d. 4 października 1834 r. po raz pierwszy przedstawiono ten dramat, bardzo liczna publiczność śledziła z wielką uwagą i z zajęciem rozwój akcji, a zajęcie to urosło do prawdziwego entuzjazmu, gdy się w końcu domyślano, że cały ten szereg przygód i zbrodni jest tylko sennym marzeniem. Odtąd cieszył się dramat Grillparzera stałym powodzeniem. Żadnego z dzieł jego nie przedstawiono w Wiedniu tyle razy, jak „Życie snem“. Pomimo tego twierdził pewien zawołany krytyk niemiecki z stanowczością uczonego znawcy, że dramat ten nie nadaje się do przedstawienia.

„Sen życiem“ stylem i dykcją przypomina „Matkę rodu“, po której bezpośrednio nastąpił. Niespożyta siła młodzieńczej wyobraźni i żar płomiennego serca tętnią w obudwóch kreacjach.

„Sen życiem“ odznacza się nadzwyczaj delikatnem obrazowaniem wszystkich czynników i stopniowych przejść marzeń sennych. Pewien uczony lekarz zauważył, że nie zna naukowej rozprawy, któraby wyjaśniała z taką prawdą i dokładnością prawa w świecie snów jak poetyczny utwór Grillparzera.

Jak „Życie snem“, tak i inne dzieło Grillparzera ukazało się dopiero w tym czasie na widowni publicznej, pomimo że także przed dziesięciu blisko laty było napisane. Jest to libretto do opery pod tytułem: „Meluzyna“.

Około r. 1823 dowiedział się Grillparzer za pośrednictwem intendantury teatru nadwornego, że Beethoven życzy sobie mieć libretto do opery jego pióra. Nie zamierzał wprawdzie Grillparzer nigdy pisać libretta, sądził także, iż na ówczesnym stopniu swego rozwoju, geniusz Beethovena nie jest bynajmniej odpowiednim do kompozycyi operowej — ale ze względu na Beethovena, napisał przecież żądane libretto, uwzględniając w niem ile można było, charakter twórczości wielkiego kompozytora. Aby zaś Beethovena nie kępować, nie oddał mu osobiście rękopisu, lecz przesłał mu go tą samą drogą, jaką go doszła propozycya.

Wkrótce potem otrzymał zaproszenie do chorego Beethovena, który okazał się w najwyższym stopniu zadowolonym z dzieła, tylko z chórem strzelców na początku był w kłopotcie. Grillparzer odrzekł, że ten całkiem opuścić można; zresztą nie zrobił Beethoven żadnych innych zarzutów kompozycyi. Grillparzer odwiedzał potem kilka razy zapadającego coraz bardziej na zdrowiu kompozytora, który pewnego dnia wspomniał mu, że opera cała już jest gotowa. Grillparzer nie wiedział jednak, jak to właściwie rozumieć: czy Beethoven miał ją tylko w myśli gotową — czy też pojedyncze idee były już zanotowane pomiędzy tem niezliczonem mnóstwem zapisanych kart i świstków, jakie znaleziono po jego śmierci. Bądź co bądź, gdy Beethoven umarł, nie znaleziono ani jednej nuty, którą możnaby było z pewnością do „Meluzyny“ odnieść.

Beethoven umarł 26 marca 1827 r. Artysta teatru nadwornego Anschütz wygłosił nad grobem wzniosłą i rzewną mowę napisaną przez Grillparzera, który spisał później krótkie, ale bardzo ciekawe wspomnienia o Beethovenie. Muzykę do „Meluzyny“ skomponował Konradyn Kreutzer w r. 1833, twórca „Noclegu w Grenadzie“, a równocześnie pojawiło się także w druku libretto. Kompozycya nie utrzymała się w repertuarze. Co się tyczy

libretta, nie nadawało się ono szczególnie do muzyki. Jest tam zanadto wiele żywiołu abstrakcyjnego, czego muzyka nie znosi. W ogóle zaś dzieła Grillparzera z powodu cechującej je niezrównanej jędrności wyrażania się utrudniają ogromnie kompozycję i czynią ją prawie zupełnie niemożliwą. Wymownym dowodem tego twierdzenia jest właśnie „Meluzyna“, lubo poeta w niej do wymagań kompozyty muzycznej zastosować się starał<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Właśnie kiedy rozdział ten niniejszego dzieła drukowano, wyszedł staranny przekład dramatu „Des Meeres und der Liebe Wellen“ pod tyt.: „Gra ucużé i fal morskich“, dokonany przez Helenę Wiślańską (Tarnów, 1885).

## VIII.

(Grillparzer dyrektorem archiwum. Koło literackie. Muzyka. *Tristia ex Ponto*.  
Walka z Saphirem.

---

Zatrzymaliśmy się dłużej przy literackiej działalności Grillparzera. Pora teraz wrócić ku okolicznościom i wypadkom innego rodzaju, współczesnym z temi latami, na które dzieła właśnie omówione przypadają.

Grillparzer ciągle jeszcze był c. k. nadwornym koneypistą, a tem samem stał dosyć nisko w hierarchii urzędniczej. Gdy w r. 1831 zawakowała posada dyrektora archiwum w ministeryum skarbu, Grillparzer podał się o nią. Posada dyrektora archiwum nie była wprawdzie szczególnie dotowaną, pod pewnym względem była nawet przykrą, gdyż zamykała wszelkie dalsze widoki awansu; ale odznaczała się za to pewną samoistością. Tam w zaciszu swego archiwum, jak na spokojnej i samotnej wśród huczącego oceanu wyspie mógł sobie poeta gospodarować po swojemu i być zupełnie swoim panem. Otrzymał tę posadę d. 23 stycznia 1832 r. Była z nią połączona pensya roczna 1500 zł. i 300 zł. na pomieszkanie — nie zaś 2000 zł., jak poprzednik jego pobierał, chociaż Grillparzer wyraźnie w podaniu zaznaczył, że tylko na takich samych warunkach mógłby to stanowisko jako pożądane uważać.

W r. 1834 rozpisano konkurs na posadę dyrektora biblioteki uniwersyteckiej. Grillparzer starał się o to miejsce. Rozpoczął on służbę swą w bibliotece i z żalem pożegnać się musiał z przybytkiem umiejętności. Cieszył się więc nadzieją, że teraz wejdzie może napowrót do tej atmosfery, która bądź co bądź odpowiedniejszą była dla jego usposobienia niż zbutwiałe fascykuły

aktów skarbowych. Ale niestety nadzieja zawiodła; posadę przy bibliotece nadano komu innemu.

W stosunkach towarzyskich poety nastąpił o tyle pomyślny zwrot, że teraz młodszy literaci z głęboką czcią gromadzili się około niego jakoby planety około słońca. W restauracji „pod gwiazdą“ w samym środku miasta, na starej „Brandstätte“ schodzili się w południe i wieczór: rozpoczynający swój zawód literacki komedyopisarz Bauernfeld, redaktor poważnej „Wiener Zeitschrift“ Witthauer, estetyk Feuchtersleben, filozof Enk, germanista Karajan i inni. Na pierwszym miejscu zasiadał Grillparzer. Omawiano bieżące sprawy, przedewszystkiem literackie, odczytywano świeżo wyszłe czy wyjść mające ciekawe artykuły własne i innych, i starano się w żywej i szczerej, to poważnej to wesołej wymianie zdań pouczyć i rozerwać. W tem towarzystwie, tętnącym zupełną swobodą, doznawał Grillparzer przyjemności użytkowania bogatej wiedzy i głębokiego wykształcenia swego w odpowiednim, sympatycznym kole. A bez takiego współdziałania pokrewnych i pojmujących dusz nawet największy geniusz długo wytrwać bez uszczerbku dla siebie nie zdoła.

Muzyka przyczyniła się także do rozjaśnienia melancholii, która poetę dawniej tak uporeczywie gnębiła. Zajmował się fortepianem bardziej, niż przedtem, komponował nawet i częściej swych kompozycji wydał w r. 1832 u Haslingera pod napisem: „Rapsody na fortepian Franciszka Grillparzera“. Każdej niedzieli i święta przychodził na chór do kościoła parafialnego „am Hof“ i śpiewał swą partję basową ze studentami uniwersyteckimi, którzy tam się popisywali. Oprócz tego pielęgnował śpiew dla przyjemności, jak niegdyś w młodzieńczym wieku, kiedy nawet do śpiewu komponował i własną kompozycję do Goethego ballady: *Król z Tuli* ojeu swemu bardzo często odśpiewywać musiał.

Wszystko to razem wzięwszy, wolno twierdzić, że lata owe należały w życiu Grillparzera do przyjemniejszych. Czuł się bardzo zadowolonym, jaśniej patrzył w przyszłość, a pogodniej w przeszłość. Nic nie świadczy wymowniej o tem pomyślniejszem usposobieniu nad tę okoliczność, że właśnie wtedy ogłosił poezye, które najczarniejszym chwilom i najrozpaczelniejszym uczuciom powstanie swoje zawdzięczały. Wydał je razem pod zbiorowym napisem: *Tristia ex Ponto*, a rzucając w świat, co mu kamieniem na sercu ciążyło, i zdzierając zasłonę z tajemnic, które dotykały jego najwłaściwszej istoty, okazał, że pierś już wolniej oddycha i że straszne mary pokonane zostały.



O nadzwyczajnem rozbudzeniu energii Grillparzera świadczy też i to, że wystąpił na arenie publicystycznej: po raz pierwszy i ostatni w życiu swoim. Przybył wtedy do Wiednia Maurycy Saphir i wnet swymi płytkimi dowcipami i błyskotliwymi kalamburami zdobył sobie szerokie koło wielbicieli. Grillparzer z całym klubem gwiazdowym nienawidzili go serdecznie jak już dawniej za pobytu Saphira w Berlinie wszyscy lepsi autorowie nim pogardzali. Bauernfeld w artykule o krytyce i krytykach nawoływał wszystkie poważne umysły pod jeden sztandar, aby się chronić od ordynarnych i złośliwych recenzentów, co *sub rosa* do Saphira się odnosiło. Saphir zrozumiał tę aluzję, i także *sub rosa*, nie wymieniając nazwiska, ale tak, że cień wątpliwości nie pozostawał do kogo się piękne epiteta odnoszą, napadł w organie swoim w właściwy sobie gburowaty sposób na Bauernfelda. Grillparzer uważał za obowiązek swój wystąpić w obronie Bauernfelda i publicznie przyznawać się do idei dobrych. Podpisał tedy nazwisko swoje pod bardzo zręcznie ułożonem „oświadczeniem“, którego nadzwyczaj delikatny i grzeczny styl właściwie nie zdawał się ranić, ale mimo to duch teńący z całości, Saphirowi mocno docinał. Saphir, umiejący sobie zawsze poradzić, umieścił w następnym numerze czasopisma swego ze swojej strony „oświadczenie“, w którym słowo w słowo parodyował artykuł Grillparzera! Naturalnie nie odpowiedziano mu już więcej — ostatni został przy głosie i tak, jeśli się to nazywa zwycięstwem, zwyciężył dzięki swemu kuglarstwu, w walce z uczciwymi literatami tak samo, jak już poprzednio w Berlinie.

Ale za to Bauernfeld sportretował tego pasożyta i korsarza literackiego w komedyi *Salon literacki* tak udatnie, że kiedy w rok później wszystkie sceny niemieckie ją dawały, każdy natychmiast poznawał oryginał portretu. Grillparzer zaś najzjadliwszemi strzałami swego sarkazmu mierzył w znieawidzonego pseudo-literata, a dowcipne epigramy jego podawano sobie w Wiedniu z ust do ust. Nie obeszło się tedy bez zemsty. Ale stanowczej zemsty dokonał dopiero czas: któż dzisiaj ogląda się na wielkiego Saphira!

## IX.

(Podróż do Francji i Anglii. W Paryżu. Börne. Heine. W Londynie. Parlament. Sądy. Teatry. W Stuttgarcie. Nieszczęsna wiadomość. „Biada temu który kłamie“. Fatalne przyjęcie tego dzieła i przyczyny klęski.)

---

W dziesięć lat po większej wycieczce do Niemiec udał się Grillparzer w podróż do krajów zachodniej i zachodnio-północnej Europy, które od dawna poznać pragnął. Z urlopem na trzy miesiące opuścił Wiedeń dnia 30 marca 1836. Zaledwie zatrzymując się po drodze, przybył do Paryża d. 9 kwietnia.

O wrażeniach podróży tej dowiadujemy się najdokładniej z dziennika, który poeta celem zatrzymania w pamięci ważniejszych chwil swej wycieczki starannie prowadził, i który, chociaż nie przeznaczony do ogłoszenia, ogłoszono później w zupełnem wydaniu dzieł jego.

Grillparzer zamieszkał w małym, ale dobrym hotelu ulicy Richelieu, poczem zaraz na własną rękę poznawanie miasta rozpoczął. Przypadkiem zeszedł się z niejakim Brantem, Anglikiem, którego przed laty poznał był w Wiedniu. W jego towarzystwie przebywał odtąd wiele, a w wolnych chwilach ćwiczył się z nim w angielszczyźnie.

Rozumie się, że teatry zajmowały go w najwyższym stopniu. Zwiedzał wszystkie dosyć często, bywał i w operze. Najbardziej imponowała mu zewnętrzna strona przedstawień, ale okrzykane wielkości artystyczne nie zadawały go bynajmniej.

Niem mało zajmowały go też urządzenia konstytucyjne, które były dla niego nowością. Uważnie przysłuchiwał się debatom izby deputowanych i notował dokładnie spostrzeżenia swoje w tym względzie.

W szeregu znajomości, które Paryżowi zawdzięczał, najciekawszymi bez wątpienia pod względem literackim były znajomość z Börnem i z Heinem.

Börne, słynny krytyk, tak na polu społecznym i politycznym, jak i literackim, okazywał dla Grillparzera od początku wystąpienia jego wielką sympatyę. Jego krytyki *Matki rodu* i *Safony* wielce się przyczyniły do uświetnienia nazwiska wstępującego na widownię publiczną poety. Börne, którego skrajność polityczną Grillparzer tak samo potępiał, jak jego fanatycznej nienawiści do Goethego nie podzielał, nie wymagał wcale od innych zupełnego pisania się na swoje zapatrywania i okazał się dlatego bardzo pożądanym towarzyszem. To też przepędził z nim Grillparzer wiele chwil na bardzo przyjemnych pogadankach.

Również dobre wrażenie uczynił na nim Heine. W największej zgodzie i w świetnym humorze gawędzili ze sobą. Wycieczki przeciw szkole romantycznej, które się mieszcza w ówczesnych pismach Heinego, znajdowały w głębi duszy Wiedeńczyka najżywszy odgłos. Był zachwycony, i wyznaje, że nigdy może nie słyszał rozsądniej mówiącego literata niemieckiego. Mniej już podobał mu się Heine na obiedzie u Rothschildów.

Poznał Grillparzer także Dumasa, a żałował że nie mógł mówić z Wiktorem Hugo. Z muzyków schodził się z Rossinim, Thalbergiem i Meyerbeerm.

Dzień 15 kwietnia, dzień bardzo ciekawego, całkowitego zaćmienia słońca był dniem wyjazdu jego z Paryża. Jeżeli już w Paryżu z używaniem języka francuskiego Grillparzerowi szło nieszczególnie, to w Albionie z angielskim trudności jeszcze się wzmagaly. Zła wymowa zaraz na wstępie fatalnie we znaki się dawała: Grillparzer zażądał masła (*butter*), przyniesiono mu wody (*water*). Na szczęście spotkał się w Londynie z rodziną wiedeńską Figdorów, u których czuł się wkrótce jak w domu. Nie odstępował ich prawie — a listy polecające, których mu nie brakowało, zostawiał w kieszeni.

Niemniej bacznie i dokładnie jak w Paryżu starał się Grillparzer poznać i w Londynie wszystko, co zasługiwało na uwagę. Zwiedzał i oglądał niezmordowanie; fabrykom, browarom i innym technicznym zakładom, które w Wiedniu mało go zajmowały, tu w Anglii gdzie wychodziły daleko poza powszednie rozmiary i gdzie się stały charakterystyczną cechą kraju, chętnie poświęcał czas i uwagę.

Rad korzystał ze sposobności, aby się przysłuchiwać dyskusjom parlamentu i rozprawom sądowym, gdyż podawały mu możliwość poznawania stosunków politycznych i społecznych Anglii, tak mocno różniących się od tych, wśród których sam wzrósł i przebywał. W teatrach śledził najstaranniej za dramatami Szekspira: znał je bowiem z częstego czytania prawie na pamięć, nie nastęczała mu tedy trudności nieznajomość wymowy Anglików; zaciekawiał go też sposób interpretacji tego najpierwszego dramatyka przez własnych ziomków. W ogóle prawie każdy wieczór pobytu w Londynie był poświęcony teatrowi.

Z powodu uporczywej słoty nie mógł Grillparzer, jak to zamierzał, poznać niektórych znaczniejszych miejscowości Anglii. Widział jedynie trochę z okolic Londynu; Windsor-Castle podobał mu się szczególnie.

Dnia 16 czerwca opuścił Grillparzer Anglię parowcem, który go do Antwerpii zawiózł. Ztąd to koleją to pocztą szła podróż przez Brukselę, Lüttich, Akwisgran do Kolonii, Renem do Moguncyi, dalej przez Heidelberg do Stuttgartu. Miejscowości wymienione oglądał Grillparzer, o ile krótkość czasu na to pozwalała. W Stuttgarcie poznał osobiście Uhlanda, którego ze wszystkich niemieckich poetów z epoki zaklasyecznej najbardziej cenił. Przybywszy do Monachium, otrzymał straszną wiadomość, że brat jego porzucił żonę i dzieci, kasę urzędową zostawił zupełnie prózną i udawszy się z Salzburga do Wiednia obwiniał się tam sam o morderstwo, zdradzając symptomata obłąkania.

Tragicznie więc zakończył się trzymiesięczny urlop poety, i smutny był powrót jego do Wiednia. Przybywszy tu, ujął się Grillparzer za bratem, którego trzymano kilka miesięcy w więzieniu nim się ostatecznie rzecz wyjaśniła: Karol w napadzie obłąkania sam się oskarżył o zbrodnię której nigdy nie popełnił. Uwolniono go wprawdzie, ale urząd utracił. Odtąd utrzymanie jego i jego rodziny ciążyło na Grillparzerze.

Za powrotem do zwykłego trybu życia powrócił także Grillparzer do twórczej pracy. Zaledwie się uspokoił w Wiedniu, zaczął już myśleć o nowem dziele, które osnuł na opowieści podanej przez francuskiego kronikarza Grzegorza Turonczyka którą w następujący sposób przedstawił:

Za czasów, kiedy Frankowie byli już chrześcianami, a najbliżsi ich sąsiedzi jeszcze pogańskich bogów czcili, żył w mieście Chalons czcigodny, wielce nabożny biskup. Otóż ci pogańscy są-

siedzi trzymają u siebie jako zakładnika pokoju siostrzeńca biskupa, Atalusa. Tymczasem wybuch wojna i Atalus z zakładnika staje się niewolnikiem. Król frankoński zapytywał biskupa, czy nie ma jakiego życzenia, ten jednak dumą wiedzony, nie wyznał prawdy, że chciałby swego ulubionego siostrzeńca widzieć wykupionym, chociaż sam nie jest w możności złożyć okupu, gdyż najskrupulatniej dochody swoje na wspieranie ubogich obraca i tylko bardzo szczupłą część ich na wyzwolenie swego siostrzeńca odkładać może.

Młody chłopak Leon, kuchta na dworze biskupim, żałuje serdecznie starego pana, który żałuje sobie każdego kawałka chleba, aby tylko złożyć jak najwięcej grosza, a jednak nie ma nadziei odzyskania siostrzeńca. Ofiaruje się więc biskupowi, przyrzekając że uwolni i wróci mu Atalusa, na co biskup ostatecznie się zgadza, pod warunkiem jednak, że zrobi to bez jakiegokolwiek kłamstwa. Leon w towarzystwie pielgrzyma udaje się w drogę do hrabiego Katwalda, u którego Atalus w niewoli przebywa, i namawia owego pielgrzyma, ażeby go jako swojego niewolnika Katwaldowi sprzedał.

Pielgrzym spełnia jego życzenie, i Leon zostaje kuchtą u Katwalda, przed którym nie tai wcale, że lada dzień ucieknie. Smakosz Katwald, dla dogodzenia żołądkowi, znosi zuchwałstwo kuchty, którego dowcip naturalny zyskuje tymczasem sympatyę córki Katwalda Edryty, przyrzeczonej przez ojca na żonę dla Galamira, głupca olbrzymiego wzrostu. Leon przygotowuje ucieczkę i uprowadza w końcu ze sobą Atalusa, niedołęznego piecucha, nie zasługującego wcale na to, aby się taki Leon dla niego poświęcał, a Edryta łączy się także z nimi, aby ujsć przed zniemawidzonym narzeczonym. Po wielu przygodach dostają się szczęśliwie do Metz, który właśnie wpadł w ręce chrześcian. Tu spotykają się z biskupem, który dowiaduje się, że rzecz cała nie mogła się obejść bez żadnego kłamstwa, i że właśnie pierwotne postanowienie Leona, żeby nie kłamać, pociągnęło za sobą cały szereg udawań, które dopiero teraz się wyświecają. Rozważając to biskup, powiada z rezygnacją: „Któż wytlómaczy świat pstry i powikłany? Wszyscy mówią prawdę — chlubią się tem. A tu ona okłamuje siebie samą i jego; on mnie i znowu ją; ten kłamie, bo jego okłamywano — a wszyscy mówią prawdę, wszyscy, wszyscy. Kąkolu, jak uważam, nie wykorzystamy: bądźmy szczęśliwi, jeśli tylko pszenica ponad niego wyrośnie!“.

Oto w jak najogólniejszych zarysach treść dramatu *Weh dem der lügt* („Biada temu, który kłamie“) przedstawionego po raz pierwszy w „Burgu“ d. 6 maja 1838, a przyjętego tak nieprzychylnie, jak żaden inny utwór Grillparzera. Jakaż przyczyna tak bezwzględного postępowania z poetą, który długim szeregiem świetnych dzieł zasłużył sobie na poważne traktowanie, który z powodu niepowszedniej miary swego geniusza nie mógł upaść tak nisko, żeby wywołać zgorszenie estetyczne!

Nie da się zaprzeczyć, że dramat ten posiada wielkie zalety: dużo poezyi, oryginalne charaktery. Ale całość, mimo swą misterność, pozostanie na zawsze tem, co Niemcy nazywają *Kaviar für das Volk*. Mianowicie zamiast akcyi wysunięte tam na pierwszy plan psychologiczne przeprowadzenie charakterów, a subtelne cieniowanie głównej idei, która jest osią i sprężyną wszystkiego, robi z dramatu: „Biada temu który kłamie“ rodzaj noweli. Jeżeli już prawdziwa nowela, ta delikatna tkanina około idealnego ziarneczka złota, nie zwabi śród tłumu tylu miłośników, co wpadająca w oczy, bo wybitniejsza i rozleglejsza struktura powieści: to dla powodzenia dzieł scenicznych pożądane bezwątpienia raczej podobieństwo analogiczne do powieści, niż do noweli. Na uchybieniu tej zasadzie cierpi właśnie nasz dramat

To też chociaż Laube — jak o tem na właściwem miejscu wspomnimy — jako dyrektor Burgu wszystkie utwory Grillparzera wznawiał, jednak dramatu *Weh dem der lügt* nie przedstawił. Nawet po śmierci poety, kiedy jako zadośćuczynienie obrażonym ceniom jego z największą starannością dramat wystudyowano i inscenowano, a publiczność w usposobieniu natchnionem go słuchała, nie wywołał entuzjazmu, tylko uzyskał zasłużony *succès d'estime*.

Przy pierwszym jego przedstawieniu działały jeszcze inne okoliczności niepomysłnie. Mimo odradzania Bauernfelda i Feuchterslebena, Grillparzer nie odstąpił od zamiaru przedstawienia swego dzieła; do dramatów książkowych — bardzo słusznie zresztą rozumując — czuł niewymowną odrazę. Nie dał się nakłonić do zmiany nazwy: „komedia“, którą dał dziełu swemu, na więcej utartą w pojęciu powszechnem: „dramat“. Idąc bowiem za definicyą pewnych estetyków rozróżniał Grillparzer tylko dwie kategorie dzieł scenicznych: tragedye i komedye, i dlatego nazwał dzieło swoje komedya, ponieważ w niem nad wszelką akcyą góruje pewien wzniosły humor; przez to jednakowoż tem bardziej na coś

zupełnie innego publiczność przygotował, ileż w Wiedniu sarkastyczny dowcip Grillparzera powszechnie znano i nikt nie wątpił, iż on potrafi napisać prawdziwie wesołą komedję. Ten upór autora zepsuł wiele. Spodziewano się zupełnie czego innego, jak to, co zobaczono. Afisz głosił komedję, a na scenie ujrzano dramat rozwijający się powoli, cieniowany z nadzwyczajną subtelnością, a owiany wzniosłym, nieprzystępnym dla ogółu humorem.

Oprócz tej zewnętrznej wady, działała jeszcze także fatalnie, jak twierdzili znawcy, pewna jednostronność. Cała sympatya widza zwraca się w tym utworze ku naturalnemu, zdrowemu, sprytnemu i energicznemu Leonowi: to dziecię ludu zyskuje miłość córki możnego hrabiego, która z nim razem ucieka. Wobec tego bohatera demokratycznego szlachta nie ma ani jednego przedstawiciela, któryby nawet miernym wymaganiom odpowiedział. Katwald, to krzykacz i pijak; Atalus, dumny ze swego herbu i nazwiska, a przytem gnuśny, odstręczający i niewdzięczny, — gdyby nie wzgląd na biskupa, który go kocha, byłoby to dla niego zupełnie obojętnem, gdyby nawet całe życie pasł owce u Katwalda; a Galomir, to już prawie nie człowiek, to pół zwierzę. Dodajmy do tego, że poeta wyraźnie nawet wypowiada, że nie herb i antenaty o dzielności i znaczeniu stanowią; przypomnijmy sobie jak to w owe czasy na wszelką akcyę na scenie niesłychanie drażliwe, mezalians między kuchtą i hrabianką razić musiał pewne przemożne sfery: a wytłómaczymy sobie łatwo, dlaczego w pewnych scenach z łóż nawet syk albo gwizd się odzywał, o czem w złośliwych swych omówieniach Saphir dosyć wyraźnie wspomina jako o częściowej przyczynie niepowodzenia. Nawet w samym tytule komedyi można było dopatrzeć się aluzyi dalej sięgającej, jako kłanią ci, co błyszczą pozorem i mieniem a uchylają się od obowiązków, które spuścizna po ojcach od nich wymagać się zdaje.

---

## X.

(Wrażenie niepowodzenia. Nieprzyjaźń Melpomeny. Opinia w Niemczech. Po-  
ezye. Daremne zabiegi o odpowiednie stanowisko. Podróż do Grecyi. Do Ham-  
burga. „Ubogi grajek“. Grillparzer i muzyka.)

Los ostatniego dzieła głęboko dotknął wrażliwy umysł poety. Po raz pierwszy widział się zawiedzionym w oczekiwaniach swoich tym wyrokiem, który wyżej cenił od wywodów estetycznych i uważał za nieomylny, tym wyrokiem swoich ziomków, zgromadzonych w poważnym przybytku sztuki, będącym chlubą każdego prawego Austryaka. Życie go dosyć krzywdziło, zapoznawano jego talent, jego patriotyzm, jego cnoty: teraz z żalem spostrzegł, że i sztuka, która urokiem swoim wynagradzała artyście zawody, w życiu doznane, zaczyna mu się sprzeniewierzać i odwraca od swoje oblicze.

Inne gwiazdy za to zajaśniały teatrowi. Halm, Gutzkow, Deinhardstein i inni pierwszego i drugiego rzędu dramatycey, sypali sceniczne utwory jak z rogu obfitości. Grillparzer nowych sztuk nie pisał, a raczej już nie wydawał na widok publiczny — a nikt nie myślał o wskrzeszeniu dawniejszych, których latami nie przedstawiano. Kiedy w r. 1840 pokazały się na pułkach księgarskich: *Des Meeres und der Liebe Wellen*, *Der Traum ein Leben* i *Weh dem der lügt*, w powołanych sferach nikt nie przypomniał sobie obowiązków sceny wobec poety.

Jeżeli tak było w państwie, które lepszego i bardziej patriotycznego syna nad Grillparzera nie posiadało, to jeszcze gorzej obchodzono się z poetą *Matki rodu* (tak go tam nazywano



powszechnie) w Niemczech. Dawniej romantycy i *tutti quanti* lekceważyli sobie jego utwory, przeciwne ich zasadom i zapatrywaniom. Teraz wiał znów inny, ale również nieprzyjazny duch w Niemczech. Bywała tam albo polityka górą, i poeci polityczni zagłuszali wszelką inną poezją, zwracając się przedewszystkiem przeciw Austrii i rozszerzając przepaść między Austrią a Niemcami, zwłaszcza północnemi, od dawna istniejącą (Grillparzer był zaś Austryakiem od stóp do głów); albo estetycy i historycy, na kołowaciznie heglowskiej wychowani, rozciągali poezję na prokrustesowem łożu swoich arbitralnych rubryk i z nieomylnego trójnoga wydawali swoje wyroki. Publiczność zaś szła na oślep za tymi przewodnikami, karmiła się preparowaną przez tychże strawą i odzuwała wiecznie tesame tylko sądy. A sądy te orzekły o Grillparzerze, że jest serwilistycznym biurokratą, ograniczonym Austryakiem, rzecznikiem średniowiecznego fatalizmu, wstecznikiem bez wykształcenia estetycznego i filozoficznego.

Grillparzer odplacał się wprawdzie przeciwnikom swoim dobrą monetą; ale przeciwnicy ci występowali głośno, otwarcie na arenie publicznej, Grillparzer zaś tworzył kaustyczne epigramy i piorunujące aforyzmy tylko dla siebie w samotnem zaciszu swego archiwum. Nie ogłaszał z tych rzeczy nic, jak w ogóle nie dbał o zachowanie i zebranie swych ulotnych wierszy ani o zbiorową edycję swych dramatów.

Chociaż miał tych ulotnych poezyj wiele, nie dał się jednak nigdy w życiu namówić do ogłoszenia ich zbioru. Tylko w kole bliższych znajomych powstało kilka, mniej lub więcej zupełnych rękopiśmiennych zbiorów. Szersza publiczność zaś mogła znaleźć i czytać wiersze Grillparzera chyba tylko w którym z almanachów i czasopism austryackich; do Niemiec z wyjątkiem *Abschied von Gastein* i głośnego *Die Ruinen des Campo Vaccino* prawie nie więcej się nie przedarło.

Dopiero po śmierci autora okazał się po raz pierwszy w druku zbiór poezyj przez lat tyle rozprószonych, i wtedy poznał świat, że cenić powinien w Grillparzerze nie tylko dramatyka.

Ten wstręt poety do zebrania swych poezyj za życia tem się tłumaczy, że — jak sam powiada — jego poezye to biografia jego. Zbierając je, byłby musiał je odczytywać na nowo, a nie chciał przypominać sobie tragicznych przejść i drażnić ran, które czas ledwie cokolwiek zabliznił.

Poezye Grillparzera cechuje lekkość i śpiewność tylko w małej bardzo części, przeważnej większości nadaje właściwa temu poecie jędrność wyśłowienia i bogactwo głębokich myśli obok niekunsztownej wcale formy pewną surową powagę i charakter jakiejś spiżowej posągowości.

Wielka część tych wierszy jest wyrazem osobistych losów poety. Nie zasklepiał się jednak w skorupie ciasnego egoizmu, lecz miał oko i serce otwarte i czułe na wszelkie zmiany i wypadki nietylko w ojezystych, lecz także w ogólno-ludzkich stosunkach. To też oprócz osobistych wrażeń brzmią w jego poeziach i echa z dalszych dziedzin, które odbiły się w duszy poety.

Wielu z tych oddźwięków ze świata ogólnie ludzkiego za życia poety nikt nawet nie widział. Byłyby one zyskały popularność i rozgłos, ale zarazem byłyby niezawodnie zmusiły Grillparzera do emigrowania z Austrii. Tak wspaniałych wierszy politycznych jak *Napoleon* (z powodu śmierci tegoż), *Warschau* (na upadek Warszawy w roku 1831), *Russland*, *Kaiser Josefs Denkmal*, *Der kranke Feldherr* (Paszkiwicz 1854) niewiele posiada piśmiennictwo. Jakaż w nich śmiałość, prawda, szlachetność, gorycz! W samą porę ogłaszane, byłyby się stały hasłem dnia — ale poeta zbyt kochał swoją ojczyznę, aby ją opuścić, a za czasów Metternichowskich niechy mu innego w takim razie nie pozostało, jak emigracya, chyba żeby się był ukrył za pseudonimem, a tego uczynić nie chciał. Jedynie więc przywiązanie do ojezystego kraju skłaniało poetę do ukrywania się z tymi utworami swymi, bo dokądkolwiek byłby się przesiedlił, byłby niezawodnie nie stracił, lecz zyskał materyalnie.

Bo jakież to było, to jego stanowisko w ojczyźnie! Dopiero w r. 1844 otrzymał Grillparzer „w drodze łaski“ dodatek osobisty 300 złr., „który miał być cofnięty, gdy się pensya jego powiększy“. To nie nastąpiło jednak nigdy; wyżej bowiem już się Grillparzer nie posunął.

Widzieliśmy już, że daremnie starał się o posadę odpowiedniejszą. Ale jeszcze dwa razy próbował szczęścia. W roku 1844 w kwietniu zawakowała zaszczytna posada pierwszego kustosza c. k. biblioteki nadwornej. Z pomiędzy wielu kandydatów, jak Grillparzer, Zedlitz (autor kilku ulubionych utworów poetyckich), Deinhardstein (mierny literat, przedtem dyrektor „teatru nadwornego“, wtedy cenzor, słynący z niechęci do wszelkiej pracy) i

inni, otrzymał posadę znakomity sławista Kopitar. Przeciw temu wyborowi nikt nie mógł podnieść zarzutu.

Ale gdy już w sierpniu tegosamego roku Kopitar umarł, opinia powszechna w Wiedniu wskazywała na Grillparzera jako na jedyne go, któremu zaszczyt ten słusznie się należy. Zamianowano jednak zasłużonego skądinąd, ale nie mogącego współzawodniczyć z Grillparzerem barona Münch-Bellingshausena, który znany był jako poeta pod pseudonimem Fryderyka Halma.

W samą wilię doszła Grillparzera ta smutna wiadomość. Przygnębiony tym nowym zawodem, a liczący już wówczas lat 54 poeta wylał swą boleść w wierszu *Weihnachten*, w którym skarży się muzie, jak dziecko matce na swoją niedolę.

Tylko koło bliższych znajomych i młodsze pokolenie poważnych literatów otaczało poetę czecią serdeczną i przynosiło mu ulgę w goryczy, której odeprzeć nie był w stanie. Dzień pięćdziesiątych urodzin jego obchodzili literaci wiedeńscy solennie i wybili nawet medal na uczczenie jego zasług; pięćdziesiątą trzecią rocznicę uświetnili także sympatyczną uroczystością.

Zresztą upływało życie Grillparzera zwykłym trybem, w części na zajęciach kancelaryjnych, w części na gawędkach ze znajomymi i na pracach literackich. Wykończył on w tym czasie dramata dawniej już rozpoczęte.

W r. 1843 przedsięwziął większą podróż. Do Hiszpanii ciągnęła go silna sympatya; znał naród i język hiszpański dokładnie, gdyż od lat młodzieńczych, prawie codziennie, ulubionych autorów hiszpańskich odczytywał. Ale rozruchy na półwyspie iberyjskim nie dozwoliły mu spełnić tego planu. Wybrał tedy Grecyą za cel podróży.

Opuścił Wiedeń Dunajem d. 27 sierpnia r. 1843, żegnając go słynnym wierszem jako „Kapucy duchów“. Poznał Węgry i kraje nad dolnym Dunajem, zapłynął do Konstantynopola, był na brzegach Małej Azji i zawinął do Aten. Ale tu na fatalne natrafił stosunki, gdyż wybuchła była właśnie rewolucya przeciw królowi Ottonowi. Ponieważ król grecki był księciem bawarskim, nienawiść ludności zwracała się więc groźnie przeciw Niemcom. Mógł poeta zwiedzić zaledwie najciekawsze pamiątki Aten, pod opieką ambasady, a i tak nie bez pewnego niebezpieczeństwa; o wycieczkach w głąb kraju nawet mowy być nie mogło. Już 7 listopada powrócił Grillparzer do Wiednia.

Później tylko raz jeszcze wyjeżdżał za granice Austrii. Mianowicie na jesień r. 1847 pojechał przez Berlin do Hamburga, z kąd przez Monachium do Wiednia powrócił. Czemu właśnie ku Hamburgowi podróż pokierował, niewiadomo.

Szczegółowy dziennik z podróży do Grecyi pisany przez poetę w podobny sposób jak dziennik z podróży na zachód, ogłosił dopiero niedawno Laube w swojej książce.

Kart tych poeta sam nie byłby ogłaszał, jak w ogóle wiele z rzeczy prozaicznych, w edycyi kompletnych dzieł wydrukowanych, widocznie nie przeznaczył sam do publikacyi.

Prozą sam ogłosił tylko początek studyum o stanie współczesnym poezyi dramatycznej w r. 1836, a z belletrystycznych utworów opowiadanie: *Klasztor pod Sandomierzem* i nowellę *Biedny Grajek* (*Der arme Spielmann*).

Nowella ta, drukowana najpierw w almanachu *Iris* na rok 1848, należy do klejnotów literatury. Jest ona tak znakomitą, że śmiało twierdzić można: gdyby zaginęły wszystkie jej siostry, a ona sama jedna ocalała, na niej wskazałoby można wszystkie charakterystyczne cechy nowelli.

Nie możemy się tu bliżej wdawać ani w przedstawienie treści, ani w szczegółowe wykazanie piękności tej nowelli. Ale wspomnieć musimy przecie, że w tak delikatnych odcieniach i z taką prawdą mógł przedstawić zupełne utopienie myśli i uczuć w czarach muzyki jedynie poeta tak głęboko i prawdziwie muzykalnie wykształcony jak Grillparzer.

Takie jest zdanie znakomitego znawcy muzyki, profesora Hanslicka, który powiada także, że nie było poety, któryby tak poważnie i z takim zamiłowaniem muzyką się zajmował, któryby tyle głębokich i oryginalnych myśli o muzyce z własnej duszy zaczerpnął i wyraził, jak Grillparzer.

To też obok rozrzuconych wszędzie po dziełach wzmianek i myśli o muzyce, znaleziono ich sporo w dziennikach z podróży i na rozlicznych kartach spuścizny literackiej Grillparzera. Wiele też z poezyj i epigramów poświęconych jest muzyce. Wychwalają i uwielbiają one Mozarta, Schuberta, Beethovena (Mozart to największy poeta ulubieniec); nienawidził zaś Grillparzer Berlioza i Ryszarda Wagnera.

## XI.

(Rok czterdziesty ósmy. Wiersz do armii włoskiej. Uznania i hołdy. Wznówienie dramatów Grillparzera przez Laubego. „Libusza“. „Wasz bratnia“. „Żydówka“. Autobiografia. Wystąpienie ze służby.)

---

Rok czterdziesty ósmy, stanowiący epokę w dziejach Austrii, jest także pamiętnym w życiu największego jej poety. Przygotowujący się od dawna ruch przeczuwał dobrze Grillparzer gdyż doświadczył niejednokrotnie na sobie samym przygniatającego wolny polot myśli i fantazyi wpływu absolutyzmu, który tyle razy krępował i niweczył najpiękniejsze jego pomysły i najlepsze chęci.

Witał też Grillparzer z początku całym sercem jutrzeńkę wschodzącej swobody, która budziła dusze z długiego snu. Ale kiedy przyszło do buntu, do gwałtownej rewolucyi, wtedy otwarcie i stanowczo przeciw niej się oświadczał i Wiedeń spieszenie opuścił. Swemu uczuciu patryotycznemu i zapatrywaniom swoim dał on silny wyraz w nagłośniejszym podówezas i potężne wrażenie wywierającym wierszu: *Feldmarschall Radetzky*, który *Donauezeitung* dnia 8 czerwca ogłosiła i który równocześnie w tysiącach odbitek po całej Austrii rozrzucono. Kiedy państwu zagrażało rozbitcie, widział patryota w armii we Włoszech walczącej wzór i symbol pożądanej jedności i zgody pod sztandarem posłuszeństwa i witał dowódcę okrzykiem:

*Glück auf, mein Feldherr, führe den Streich!  
Nicht blos um des Ruhmes Schimmer,  
In deinem Lager ist Oesterreich,  
Wir andern sind einzelne Trümmer.*

Zwrotka ta stała się pamiętną w dziejach politycznych monarchii jako hasło partyi konserwatywnej. O wrażeniu, jakie ten wiersz sprawił świadczy dowodnie list ministra Sch war z e n b e r g a, który przesyłając pocie order Leopolda nadany mu przez cesarza Franciszka Józefa, już w kilka miesięcy po wstąpieniu tegoż na tron, pisał mu co następuje:

„Jego cesarska Mość pragnął pocie, równie uzdolnionemu, jak skromnemu, który jest chlubą Austrii i Niemiec, dać wyraz najwyższego uznania. Jego Cesarska Mość pragnął szczególnie nawiązać je do Pańskiego wiersza: *Glück auf, mein Feldherr, führe den Streich!* Albowiem te wspaniałe zwrotki, napisane w ponurych i krytycznych czasach, cudownie natchnęły armię walczącą wtedy we Włoszech; podniosły one upadający patryotyzm dobrze myślących i niejednej piersi austriackiej nadzieję i miłość wspólnej ojezyny powróciły. Są one zaszczytem zarówno dla poety, jak dla patryoty i obywatela“.

Radetzky, zawitawszy we wrześniu 1849 r. do Wiednia, dziesięć godzin podczas bankietu, przez miasto wydanego, osobiście Grillparzerowi, a później minister Sch war z e n b e r g i generał Hess wręczyli mu imieniem armii puhar honorowy i list dziękczynny Radetzkiego. Arcyksiążę Ferdynand Maksymilian, brat panującego cesarza, przysłał mu własnego utworu wiersz i wieniec wawrzynowy. Arcyksiążę ten, mąż niepospolitych zdolności umysłu, który później poległ daleko od rodzinnej ziemi, jako tragiczna ofiara swoich wzniosłych idei, wśród narodu, dla którego uszczęśliwienie daremnie się poświęcił — był zawsze gorącym wielbicielem naszego poety, i pierwszym orderem, który jako cesarz meksykański nadał, ozdobił pierś Grillparzera.

Teraz dopiero poznano i uznano patryotyzm Grillparzera, którego przez dziesiątki lat los tak fatalnie prześladował, że nawet najlojalniejsze jego manifestacje nie zdjęły z niego pewnego cienia podejrzenia, lecz przeciwnie w nowe nieprzyjemności go wikłały. Teraz jednym zamachem wszystko się zmieniło: żywe wyrazy uznania ze strony cesarza, rodziny panującej, pierwszych mężów stanu i najdzielniejszych wodzów armii wywołały nieskończony szereg owacyj i hołdów najszerzych kół.

Najmilszym jednak ze wszystkich hołdów było dla poety uznanie dzieł jego i przejęcie się niemi szerszych kół. Dotąd mógł on pod tym względem mieć słuszny żal do publiczności, a przede wszystkim do teatrów. Przez lat dziesięć teatr nadworny z wyjątkiem *Matki rodu* nie dał żadnego dramatu jego, a nie-

które dzieła po dwadzieścia i więcej nawet lat nie były wcale przedstawione.

Dopiero gdy w roku 1850 Henryk Laube dyrekcję *Burgu* otrzymał, jął się z niezwykłą energią naprawienia tych niedostatków i błędów, które niedorośli zadaniu swemu następcy Schreyvogla popełnili. Między innymi postanowił przywrócić Grillparzerowi, którego dawniej już był poznał osobiście i wysoko cenił, cześć należną jego znaczeniu poetyckiemu.

Zaczął tedy z wyjątkiem: *Weh dem der lügt*, wszystkie dramata Grillparzera po kolei na nowo inscenować, zawsze z najściślejsem uwzględnieniem intencji poety. A świeże siły, któremi Laube powiększył od dawna słynącą dzielną gwardyę weteranów, posiadały wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne warunki, aby dziełom Grillparzera bardzo wiele wymagającym w tym względzie, zupełne uznanie i niewątpliwe zdobywać tryumfy.

Tak nakoniec dożył starzec radosnej chwili, że dzieła jego ducha zachwycały publiczność, że nie było już takiego, coby ich nie znał, że nie schodziły wcale z repertuaru pierwszej sceny niemieckiej. W uczuciu wdzięczności pisał wtedy do Laubego:

*Laube — mein Paladin!*

*Schon todt, wieder lebend geworden  
Durch dich, mein tollkühner Sohn:  
So nimm den Grillparzer-Orden,  
Sonst hast du gar nichts davon.*

Dramata przez Laubego przedstawione znane były już dawniej. Ale nie było to w Wiedniu tajemnicą, że poeta ma u siebie dramata, których nikt jeszcze nie znał.

Już w r. 1840 przedstawiono w *Burgu* pierwszy akt *Libuszy*, która wtedy z pewnością nie była jeszcze ukończoną. Ale z równą pewnością twierdzić można, że ją wkrótce później poeta ukończył, lecz przedstawić już nie pozwolił, ani ogłosić drukiem nie myślał.

Dziś znamy dramat ten w całości. Odgrywa on się w zamierzchłych czasach dziejów czeskich, na tle znanego podania o Libuszy, córce Kroka, i Przemysławie, i kończy się założeniem Pragi. Dramat ten mało bardzo posiada akcyi, jest tam więcej sytuacyjnej obrazowości, ślicznie przedstawionej: psychologiczna zagadka stosunku Libuszy z Przemysławem zajmuje uwagę w sposób noweli. Oryginalne na wskrós postaci to siostry Libuszy, istoty jakby nieziemskie, które otoczone orszakiem jakichś niby

amazonek, zajmują się w dziwaczny sposób kabalistycznym badaniem przyrody.

W akcie czwartym ciekawość i zajęcie dochodzą do zupełnego zaspokojenia. Piąty akt, mający usprawiedliwić miano „tragedyi“, jest zupełnie zbyteczny i psuje tylko całkiem niepotrzebnie harmonię poprzedniego wrażenia.

Jeszcze w jednym dziele wrócił poeta do Pragi, do której Muza jego z Ottokarem pierwszy raz wstąpiła, i to w jednym z największych i najoryginalniejszych, które pozostawił, w tragedyi: *Ein Bruderswist im Hause Habsburg (Waśń bratnia w rodzinie Habsburgów)*. Wprowadza on nas tam w epokę przed burzą, w duszną atmosferę, która poprzedzała wojnę trzydziestoletnią: tragedia ta okazuje nam, w jaki sposób rzeczy tak daleko dojść mogły, jak znowuż *Wallenstein* Schillera przedstawia, dokąd zaszły.

Walka arcyksięcia Macieja z panującym bratem, cesarzem Rudolfem II — to przedmiot tej szeroko założonej i wzniosle pojętej tragedyi historycznej Grillparzera. Polityczne sprawy wypełniają jej ramy, sprawy ogólne, państwowe i religijne. Stosunki prywatnej natury, miłość, jeszcze na dalszy plan niż w *Wallensteinie* ustępują — kobieta, w której rysowaniu talent Grillparzera najświetniej jaśnieje, tutaj ma zaledwie epizodyczne znaczenie, gubi się zupełnie.

Mistrzowskiem i godnym podziwienia po wszystkie czasy, jest przeprowadzenie arcytrudnego charakteru starca-dziwaka na tronie. Wzniosłość, religijność, fanatyzm, tolerancję, łagodność, upór, melancholię, humor, okrutność, nieczułość, wrażliwość — najróżnorodniejsze czynniki wiąże tam w harmonijną całość twórca geniusz poety, wynajdując dla wszystkich tych sprężyn moralnych odpowiednią sferę działania. Mistrzowską jest też szeroka historyczna perspektywa, jaką otwiera pod koniec sztuki wprowadzenie na scenę *Wallensteina* i przedstawienie wzajemnego stosunku między nim i późniejszym cesarzem Ferdynandem

Trzecim z rzędu dramatem ogłoszonym dopiero po śmierci poety jest tragedia: *Żydówka z Toledo (Die Jüdin von Toledo)*.

Ulubieniec Grillparzera Lope de Vega napisał sztukę pod tytułem: *Las pazes de los Reyes y la Judia de Toledo*. W studyach nad tym poetą, przeszło 200 stron w edycji dzieł Grillparzera obejmujących, znajduje się między omówieniami wielkiej ilości dzieł hiszpańskiego dramatyka także krótkie podanie treści i



kilka uwag o wspomnianej sztuce. Ona też to bez wątpienia naprowadziła Grillparzera na myśl napisania pomienionej tragedji.

Treścią jej jest awanturniczy stosunek króla kastylijskiego Alfonsa do żydówki Racheli. Alfons, wychowany w surowej cnotcie, zostaje w bardzo młodym wieku małżonkiem pięknej, zimnej, cnotliwej księżniczki angielskiej Eleonory. Przypadkiem poznaje uroczą, żywą, pełną ognistej fantazyi żydówkę Rachelę, która z dziecinnej próżności stara się zbliżyć do króla, nie zważając na niebezpieczeństwa i przeszkody, żeby się bodaj chwilę ucieszyć pozorami władzy. Młody król, widząc po raz pierwszy prawdziwą kobietę, obok której Eleonora wydawać się musi marmurowym posągim, wcieleniem zimnego rozsądku, czuje się dziwnie ujętym rozkosznymi ruchami, płomiennem spojrzeniem i kipiącem życiem tej czarodziejki. Nie kocha jej, a ciągle o niej myśli; unika jej, aby za chwilę na nowo wracać; przypomina sobie drogę cnoty, a wnet gore jak przedtem. Królowa Eleonora postanawia tymczasem razem z grandami zabić Rachelę i przyprowadza do skutku ten zbrodniczy zamiar. Król, dowiedziawszy się o strasznym czynie, miota najokropniejsze groźby i spieszy do zwłok ukochanej. Grandowie i królowa oczekują go w pokorze, obawiając się okropnego wybuchu gniewu królewskiego. Król wraca, ale wbrew wszelkiemu oczekiwaniu widzów, zimny. Widok martwego ciała, w którym już życie nie grało, uleczył go z szału; przebacza wszystkim, a nad trupem biednej żydówki przechodzi życie do porządku dziennego.

U poety hiszpańskiego względy pobożności i sprężyny religijne jedną małżonków; Grillparzer przeciwnie sprowadza zakończenie sporu króla z grandami i małżonką psychologiczną drogą, mądrze wynalezioną i nieźle umotywowaną. Ale bądź co bądź nie wystarcza ta droga dla dzieła scenicznego — to przejście z gorącego szału do lodowatej obojętności mieści bowiem w sobie coś niesłychanie groźnego, mrozi boreaszowem technieniem pierś ludzką i ścina krew w sercu. Wrażeniu temu oprzeć się niepodobna, i gdziekolwiek *Żydówkę* dawano, nie działało fatalne zakończenie inaczej; ludzie są ludźmi, i najmądrzejsza psychologia nie przekona tam, gdzie się głos serca z całą potęgą przyrodzonego uczucia odzywa.

Zresztą niepodobna odmówić *Żydówce* sporo piękności poetycznych, a w szczególności dramatycznych. Jest tam wiele scen misternych, a niespokojny, nerwowy, śmiały charakter Racheli

należy do najtrudniejszych zadań, których geniusz poety szczęśliwie dokonał.

Trzech tych dramatów nie pisał Grillparzer jednym tchem, jak niegdyś rzeczy młodzieńcze, lecz powolnem piórem to nad tem, to nad owem przed długie lata pracował. Nie dawał ich, nie czytał nikomu, chował u siebie, ale wiadano że istnieją.

Nowego nie pisał już nic, z wyjątkiem chyba epigramów, przeważnie bardzo jadowitych, które już to dotykały ogólnych stosunków społecznych, politycznych, literackich, artystycznych, już też wypowiadały gorycz doznaną z wrażeń czysto-osobistych.

W r. 1853 napisał jedną jeszcze większą rzecz, mianowicie autobiografię sięgającą do r. 1836. Z autobiografii najdokładniej poznajemy nie tylko główne wypadki z życia poety i jego zapamiętania, lecz ma ona także niewątpliwie znaczenie jako przyczynek do historii cywilizacji w Austrii. Z najzupełniejszą prawdą, chociaż z dyskrecją gdzie ona na właściwym jest miejscu, przedstawia Grillparzer życie swoje, przyczem z natury rzeczy obszernie omawia rozliczne stosunki współczesne i kreśli charakterystyki wielu z pierwszorzędných osób, które na losy jego wpływały.

Autobiografię zawdzięczamy tej okoliczności, iż Grillparzer jako członek akademii umiejętności w roku 1847 założonej, miał obowiązek spisania żywota swego. Zabrał się tedy do tego zadania, ale nie oddał akademii rękopisu, który pojawił się niespodziewany już wcale dopiero po jego śmierci.

W roku 1856 po 43letniej służbie państwowej wniósł 65letni Grillparzer podanie o uwolnienie go od służby. Dnia 15 kwietnia wyszła decyzja, mocą której e. k. dyrektorowi archiwum pozostać miały wszystkie jego dochody (t. j. także dodatek osobisty i dodatek na pomieszkanię), razem 2.400 zł. m. k. Oprócz tego w uznaniu zasług literackich został zaszczycony tytułem radcy dworu.

---

## XII.

(Życie starca. Przygoda w Römerbad. „Estera“. Jubileusz. Koniec.)

---

Już od początku roku 1849 mieszkał Grillparzer na czwartym piątrze kamienicy pod Nr. 21 przy *Spiegel-Gasse*. Jest to blisko zamku cesarskiego i pałacu arcyksięcia Albrechta w śródmieściu Wiednia.

Otóż tam na czwartym piątrze było skromne mieszkanie sędziewego poety. Najmował on je u sióstr Fröhlichówien, o których już wspominaliśmy.

Po zerwaniu stosunku miłosnego, Kasia długo i często chorowała. Choć o połączeniu małżeńskim już mowy nie było, nie mogła przecież przenieść zupełnego rozłączenia. Bywał tam znów Grillparzer od czasu do czasu, a chociaż przeminął dawny urok miłości, toż jednak pozostała szczerza przyjaźń i życzliwość.

Samotnemu starcowi nie brał nikt za złe, że zbliżył się do sióstr, z którymi go serdeczna znajomość z lat młodzieńczych łączyła. Jedna z nich, Betty, wdowa po Bognerze, mieszkała osobno, Anna zaś, Józefa i Kasia razem. Prowadziły one wzorowy pierwszorzędny konwikt i w domu mało bywały.

Mieszkanie Grillparzera było zupełnie oddzielone. W pierwszym pokoju z oknem wychodzącym na podwórze, stały szafy z książkami, a na nich rozliczne pamiątki. Stąd prowadziły drzwi do dosyć dużego pokoju frontowego. Urządzenie w nim było staroświeckie, nader skromne: składało się z sofy i krzeseł naokoło stołu, biało przykrytego łóżka, fortepianu, wielu pamiątek i obrazów. Blisko lewego okna, naprzeciw drzwi stało biurko, a przy niem wygodny niski fotel, na którym poeta zwykle spoczywał.

Grillparzer był wzrostu bardziej małego, niż średniego, delikatnie zbudowany. Głowę miał stosunkowo wielką, twarz owalną, fałdami głęboko porysowaną, usta dosyć duże. Gęste włosy, dawniej ciemno-blond, wcześniej siwieć poczynęły, a niewielkie jasno-niebieskie oczy świeciły łagodnym blaskiem.

Rad przyjmował on u siebie odwiedzających. Łatwo płynęła z nim rozmowa, bo szerokie czytanie, wszechstronne wykształcenie i doświadczenie długiego żywota odzwierciedlało się w jego słowach, a ożywiał je niewymuszony dowcip. Żądającym pomocy literatom nigdy jej nie odmawiał, owszem godnym chętnie jej udzielał, ale do pracy literackiej nikogo nie zachęcał, gdyż przykre koleje własnego życia uczyniły go pesymistą.

Spokojnie płynęły teraz dni starca. Czasu miał podostatkiem i obracał go przeważnie na lekturę i muzykę. Z Wiednia nie wyjeżdżał na dalsze podróże, tylko lato przepędzał albo w Baden, albo w kąpielach styryjskich Römerbad, Rohitsch, Neuhaus lub Tüffer.

W Römerbad spotkała go w lecie 1863 r. bardzo niebezpieczna przygoda. Oglądając tam ciekawy napis z czasów rzymskich, nie uważał, że tuż obok niego prowadzą schody do piwnicy, spadł więc, moeno się potłukł i przytomność utracił. Szczęściem znalazła się pod ręką skuteczna pomoc; umiejętność lekarzy i staranne pielęgnowanie o tyle go podniosły, iż mógł do Wiednia powrócić, gdzie powoli odzyskał zdrowie, ale przykrych skutków tego fatalnego wypadku pozbyć się nie potrafił. Miał odtąd słuch przytępiony, a silne otrzęsienie nerwów w głowie nabiawiło go ciągłego szumu w uszach.

Muzyki musiał teraz zupełnie zaniechać, i jeszcze bardziej niż dawniej towarzystwa unikać, ograniczając się na małym tylko kółku najbliższych znajomych. Pomieszkaniem jego zostało teraz połączone z przyległym mieszkaniem panien Fröhlich, gdyż względ na stan chorowity wymagał możności natychmiastowej pomocy. Dawniej przez długie lata jadał obiad w pobliskim hotelu *Matschakerhof* po krótkiej przechadzce po wałach, na których zniesienie w r. 1859, jak wielu innych starych Wiedeńczyków, z żalem spoglądał; teraz wiktował się w domu razem z siostrami.

Rano o 8 godzinie gotował sobie sam w swoim mieszkaniu kawę; po śniadaniu siadał przy oknie w pierwszym pokoju kiedy sprzątano w frontowym, i paląc cygaro, jedyne na cały dzień, przeglądał świeżą gazetę. Potem czytał, często jakiego greckiego autora, a regularnie jakiś utwór Lope de Vega. Potem,

używszy jeszcze jeżeli mógł małej przechadzki w najbliższej okolicy, o godzinie drugiej jadał obiad. Około 3 był napowrót w swoim pokoju. Później wracał znów do pomieszkania siostr, gdzie na pasyansie albo wiście w towarzystwie rady medycznego dr. Preyssa dzień się kończył; niekiedy czytała mu jego Kathi francuskie albo włoskie książki, albo on sam zajmował się lekką lekturą. W takim sielankowem zaciszu płynęły wielkiemu poecie ostatnie lata życia.

W roku 1868 zaszły dwa wypadki, które powszechną uwagę na Grillparzera zwróciły. Już od ogłoszenia konstytucyi był on członkiem Izby panów, ale stargane zdrowie nie dozwalało mu brać stale udziału w obradach. Dnia 21 marca jednak, kiedy podczas debaty konkordatowej rostrzygały się kwestye zasadnicze, zjawił się i stary Grillparzer w izbie, aby dorzucić głos przekonania swojego na szalę rozstrzygającą. To też gdy wieczorem tego dnia cały Wiedeń zajaśniał entuzyastyczną iluminacją, odbiły się głośne wiwaty uniesionego ludu także o wysokie domy cichej zwykle *Spiegelgasse*.

W miesiąc później przedstawiano w Burgu „*Esterę*“, fragment dwuaktowy niedokończonego nigdy dramatu, a napisanego o jakich trzydzieści lat wcześniej, który Grillparzer na usilne prośby Laubego wystawić na scenie zezwolił. Słuchacze byli zachwyceni, i gdziekolwiek *Esterę* później dawano, wszędzie towarzyszyło jej powodzenie. Wszyscy krytycy zgodnie uważają fragment ten za cenny brylant w bogatym skarbcu dzieł naszego poety. Przyczynia się jeszcze do podniesienia wartości tego utworu ta ważna okoliczność, iż fragmentaryczność jego wcale nie wadzi, gdyż dwa te akty zamykają tak skończoną psychologiczną całość, że nikt nie pragnie dalszego ciągu, a nawet go się nie domyśla.

Brzmiała więc wszędzie chwała poety. Rozradowany powodzeniem *Estery* Laube, opowiadał często Grillparzerowi o entuzjazmie publiczności, dając przytem wyraz własnemu uczuciu uwielbienia dla sędziwego poety. Ale Grillparzer niechętnie słuchał tych pochwał i ruszając ręką, jakby je chciał odeprzeć, zwracał rozmowę na inny przedmiot.

Dramatów, które od dawna były gotowe, nie przedstawiano; Laube bowiem, przeczytawszy *Libuszę*, nie mógł ręczyć, czy będzie miała powodzenie. O *Żydówce z Toledo* nie mówiono, a *Wasiń braterska* miała być przedstawioną w *Stadttheater* Laubego, którego otwarcia poeta już nie dożył.

Kłeski Austrii w latach 1859 i 1866 napełniały melancholią i goryczą serce patriotyczne Grillparzera. Wzrostu Prus znieść nie mógł; to też zwycięstwa niemieckie w latach 1870/71 nie zyskały wcale jego sympatii.

Właśnie w tych samych dniach, w których król pruski koronował się w Versailles na niemieckiego cesarza, zajaśniała w Wiedniu nad siwą skronią Grillparzera w cudownym blasku powszechnego uznania idealna korona poezji. Wszystkie dawniejsze uroczystości, któremi kilkakrotnie usświetniono urodziny Grillparzera, przewyższył jego ośmdziesięcioletni jubileusz, obchodzony w styczniu 1871 roku.

Ze wszystkich krajów koronnych Austrii, z wszystkich stron Niemiec, z licznych kolonij austriackich wśród innych narodów zasyłały gorące życzenia i składały głębokie hołdy wszystkie stany, wszelkiego rodzaju instytucje, urzędy i korporacje. Już kilka dni przed właściwym terminem pojawiały się pierwsze listy, adresy i deputacje. Nadszedł list odrębny Cesarza, nadający znakomitemu poecie i patriocie wielki krzyż orderu Franciszka Józefa wraz z nadzwyczajną pensją rocznych 3000 złr. z prywatnej skatki J. Ces. Mości. Młody Cesarzewicz i Arcyksiążę Albrecht, a z obcych domów panujących między innymi król bawarski, cesarzowa niemiecka i W. ks. Wejmarski przysłali gratulacje.

W dniu 15 stycznia nie zamykały się drzwi skromniutkiego pomieszczenia na czwartym piątrze przy *Spiegelgasse*. Jedna deputacja ustępowała miejsca drugiej. Rada miasta, wydział krajowy, akademie umiejętności, towarzystwo literackie *Concordia*, artyści Burgu, komitet dam<sup>1)</sup> i wiele innych deputacyj tak z Wiednia jak i z krajów koronnych przybywały z adresami, dyplomami, darami. Dziwić się wypada, jak schorzały i od towarzystwa zupełnie odwykły Grillparzer był w stanie przyjmowania tylu gratulantów; ale radość serdeczna i świadomość choć późnego uznania darzyły starca chwilowo niezwykle humorem i wytrwałością.

Cały Wiedeń w dniu 15 stycznia 1871 tylko jednym brzmiał nazwiskiem: Grillparzer! O nim tylko mówiono, czytano,

<sup>1)</sup> Komitet dam zebrał był sumę 20.000 złr. jako kapitał fundacji imienia poety, której odsetki co trzy lata jako nagroda nadawane bywają autorowi utworu dramatycznego wyższej wartości, który w ciągu ostatniego trzylecia przedstawiono.

nim tylko się zajmowano. W południe, w sali *Towarzystwa przyjaciół muzyki* odbyła się wspólna uroczystość. Laube głosił sławę pierwszego po Goethem i Schillerze poety niemieckiego, a w wieczór liczni słuchacze podziwiali w *Burgu „Safonę“*, w teatrze *an der Wien* zaś *Matkę rodu*, w którym to teatrze po raz pierwszy to pierwsze dzieło młodzieńczego podówczas poety przedstawiono. A ileż to równocześnie odbywało się w rozmaitych kółkach i towarzystwach, po szkołach i teatrach uroczystości, poświęconych sędziwemu jubilatowi!

Cieszyły go oczywiście te serdeczne objawy; bo i kogoż mogły nie cieszyć takie dowody czci i uwielbienia? Ale pomimo tego nie mógł się pozbyć gorzkich myśli: „Hołdy mnie oddawane, zagłuszają mnie. Jakby się chmura nademną zerwała. Za późno, dawno już za późno. Setna część tego uznania w młodych latach byłaby mnie niezmiernie orzeźwiła, byłaby mnie pobudziła do nowej poetycznej pracy na zaszczyt dla mnie, na pożytek i chwałę dla Austrii“.

Tak mawiał, tak dumiał przez ostatni rok swego życia.

Ostatni!...

Było to w niedzielę dnia 21 stycznia 1872. Grillparzer, od kilku dni nieco bardziej osłabiony, wstał rano o 8ej godzinie jak zwykle, ale czuł się jakoś dziwnie zmęczonym. Śniadania sam sobie nie przyrządzał, kawa mu nie smakowała, a codzienne cygaro rzucił, gdyż usta nie mogły go utrzymać. Przybył radea Preyss, przyjaciel domowy od lat kilkudziesięciu, przybył jakby w proste odwiedziny do Grillparzera, który mimo znużenia przechadzał się jak zwykle po pokoju i z Preyssem i pannami Fröhlich rozmawiał. Z wielką trudnością podpisał nazwisko swoje na kwiecie z tanyemy kwartalnej z Burgu nadesłanym; to było ostatnie pociągnięcie jego pióra.

Zmęczony oparł się na swym fotelu, wypił kilka kropel to-kaju, złożył ręce a potem zmrużył oczy mówiąc: „Chcę sobie trochę wypocząć“. Józefa Fröhlich i dr. Preyss usiedli na sofie, patrząc na spoczywającego Grillparzera, i cicho rozmawiali. Na zapytanie Józefy, jak starzy ludzie umierają, wyjaśnił jej lekarz, że na końcu głęboko oddychają, głowa naprzód się pochyla i — koniec!

Tejże chwili noga Grillparzera zsunęła się z taburetu, o który ją oparł. Panna Józefa zwróciła twarz ku niemu i spostrzegła, że głowa naprzód się schyla. Kiedy doktor domawiał jeszcze swego zdania, wołała: „To właśnie teraz tak“! Oboje pospieszili ku po-

ecie, który otwierając oczy szepnął: „Mój kochany Preyss!“ i chciał po raz ostatni rękę starego przyjaciela uścisnąć, ale się mu na to nie stało — już nie żył.

Pogrzeb stał się również okazałą manifestacją narodową, jak rok przed tem jubileusz — tylko że wtedy radość piersi wyżej podnosiła, a teraz smutek i żal rozpostarły czarny proporzec nad miastem. Od członków cesarskiego Domu aż do ubożego zarobnika, od męża nauki do nieletniego ucznia — wszystko brało udział w oddawaniu ostatniej czci zgasłemu wieszczowi. Wiedeń wyludnił się, bo kto nie wyruszył z orszakiem pogrzebowym, stawał w gęstych szpalerach, które od domu żałobnego aż daleko po za miasto towarzyszyły, jak dwa żywe mury, pochodowi nie mającemu końca.

W kilka lat później, szybko jedna po drugiej, umarły siostry Fröhlich, których imię z imieniem Grillparzera na zawsze wiernie związanem pozostanie. Ale wdzięczność późniejszych pokoleń należy im się z innej przyczyny. Przez całe życie wierne ideałowi, żegnając się z tą ziemią pragnęły przyczynić się do utrzymania tych ideałów, podnoszących ludzkość. Cały znaczny majątek, z zapisu Grillparzera i z własnego zarobku pochodzący, przeznaczyły na wspieranie szlachetnych celów artystycznych i literackich.

W rok po śmierci Grillparzera wyszła nakładem klasycznej księgarni, która wydała dzieła Goethego i Schillera, *pierwsza edycja zbiorowa dzieł Grillparzera* w 10ciu tomach, dokonana przez Laubego i Weilena. Dziś już trzecie jej wydanie się rozchodzi.

Ta pośmiertna edycja przypomniała starszym, a przekazała młodszym imię austriackiego poety, i w jedną jasną całość zebrała dla wszystkich tysiące rozrzuconych promieni. Wprawdzie jeszcze tu i owdzie, zwłaszcza w północnych Niemczech, zawistna lub ograniczona mierność śmie ciskać nierozumne obelgi i pogardliwe przymówki na świetną pamięć wieszca; ale zwycięska prawda coraz więcej serce i umysłów napełnia przekonaniem, że boski geniusz poezji natchnął dzieła Grillparzera, których zapomnienia fala nie pochłonie.

L w ó w, Kwiecień — Czerwiec 1884 r.

K. 253 0/50

